

Wiosna 2023 – nr 7



kalejdoskop

SPOLECZNO-KULTURALNY KWARTALNIK POLSKOJĘZYCZNY W IZRAELU

YASMEEN GODDER, KAROLINA VAN EDE-TZENVIRT, EWA SZUBSTARSKA-STEIN

TANIEC BUNTOWNIK

**Ruch jako sztuka, terapia,
ćwiczenie empatii**

PATRYCJA ZASŁAWSKA, ERYK PACEK, JULIA BORYSENKO

**Izraelska kultura ruchowa
nie ma sobie równych**

TZIPI BAUMAN, RINA BODANKIN, ESTHER FUERSTER-ASHKENAZI

**Jak zostałam Izraelką.
Alije na przestrzeni lat**

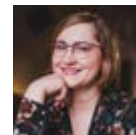
KAROLINA VANEDE-TZENVIRT

**Zapasy z losem.
Historia Jaakowa Springera**

BASIA URBAN-NINO

**Wytupać niezgodę
- renesans dabki**





Co nas porusza

tekst Karolina Przewrocka-Aderet

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

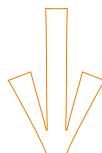
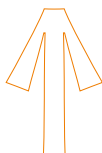
(ur. w 1987 r.) – redaktorka naczelna „Kalejdoskopu”,
dziennikarka, stała współpracowniczka „Tygodnika
Powszechnego”. Autorka „Polanim. Z Polski do Izraela”.

Gdy miałam niewiele ponad dwadzieścia lat moje życie nie ustawało w pędzie. Ciągłe się przeprowadzałam: z jednego mieszkania do drugiego, z Krakowa do Warszawy, z Berlina do Brukseli, wreszcie – z kontynentu europejskiego na Bliski Wschód. Zbyt długie przebywanie w jednym miejscu męczyło mnie i nudziło; z tego samego widoku z okna obserwowanego przez dłuższy czas niczego nowego nie mogłam się już nauczyć.

Na nabór do programu dla polskich i izraelskich studentów przygotowanego przez Muzeum POLIN przyjaciele z berlińskiego chóru, w którym wówczas śpiewałam, pomogli mi nakręcić filmik. Jeżdżę w nim berlińskim metrem przy dźwiękach utworu Paula Kalkbrennera i cytuję „Biegunów” Olgi Tokarczuk. A pisze ona tak: „Stojąc na przeciwpowodziowym wale, wpatrzona w nurt, zdałam sobie sprawę, że – mimo wszelkich niebezpieczeństw – zawsze lepsze będzie to, co jest w ruchu, niż to, co w spoczynku; że szlachetniejsza będzie zmiana niż stałość; że znieruchomiałe musi ulec rozpadowi, degeneracji i obrócić się w perzynę, ruchome zaś – będzie trwało nawet wiecznie”.

Kilkanaście lat później żyję w kraju, który pędzi tak bardzo, że trudno mi za nim nadążyć, i w mieście, o którym nie bez powodu mówi się „nonstop city”. Wiadomości podawane w mediach tracą ważność z godziny na godzinę, a „wszelkie niebezpieczeństwa”, o których Tokarczuk wspomina jakby tylko dla porządku, tutaj bywają nieodłącznym atrybutem codzienności. Zapachy, smaki i kolory Izraela są tak intensywne, że aż oszalałam, a piękno krajobrazu często odbiera mi mowę. Łapię się na myśli, że chciałoby się czasem od tej intensywności odpocząć, wyciszyć od zgiełku, uspokoić umysł. Jakby tego, co ruchome, zmienne i intensywne nagle stało się za dużo, choć bez wątplenia to ono jest nośnikiem życia i energii.

Tematem przewodnim siódmego numeru „Kalejdoskopu” uczyniliśmy ruch. To słowo znajduje w Izraelu mnóstwo odnośników, a my staramy się zrozumieć i opisać wiele z nich. Bohaterką tego numeru jest wspaniała tancerka



TEMAT NUMERU
ruch

i choreografka Yasmeen Godder, która w ruchu upatruje szansę na praktykowanie wzajemnej empatii i społeczny dialog. Wraz z Patrycją Zasławską i Erykiem Packiem, twórcami projektu Move On Together Israeli Way, zastanawiamy się nad fenomenem izraelskiej „kultury ruchowej”. Basia Urban-Nino pisze z Ramallah o palestyńskiej dabce jako pokojowej formie protestu.

Karolina van Ede-Tzenvirt przybliżyła nam postać sportowca Jaakowa Springera, który podczas olimpiady w Monachium w 1972 r. – symbolu pokojowych rozgrywek między narodami – stracił życie w krwawym palestyńskim zamachu terrorystycznym. Nie zapominamy o ważnym historycznym aspekcie naszego hasła przewodniego: ruchu syjonistycznym. Przedwojenną tradycję syjonistów rewizjonistów przybliżyła nam Dominik Flisiak. Swoimi historiami aliji dzielą się z nami kobiety z trzech pokoleń imigrantów: Tzipi Bauman (alija gomułkowska), Rina Bodankin (alija marca 1968 r.) oraz Esther Fuerster-Ashkenazi (alija współczesna). Numer kończymy lekko – felietonem kulinarnym Karoliny van Ede-Tzenvirt o izraelskim jedzeniu w biegu – szybkim, niezbyt może estetycznym, ale za to – gwarantującym błogostan podniebieniu.

Niech nasz nowy numer „Kalejdoskopu” dobrze wpisze się w wiosnę, która na naszych oczach wypycha właśnie z nieba ostatnie zimowe chmury. I oby dla nas wszystkich te najbliższe miesiące były radosne i pełne pokoju.

Wszystkim Państwu, którzy lada chwila rozpoczną najważniejsze w roku święta - Pesach, Wielkanoc i okres Ramadanu - składamy najserdeczniejsze życzenia. Oby ten czas przyniósł nam wszystkim pocieszenie, radość i pokój!

Redakcja „Kalejdoskopu”

Wydawca:

עמותת קליידוסקופ (ע"ר)

KALEJDOSKOP ASSOCIATION (R.A.)

STOWARZYSZENIE KALEJDOSKOP

Redaktorka naczelna: **Karolina Przewrocka-Aderet**,

karolina.aderet@kalejdoskop.co.il

Redaktorka, wydawczyni portalu: **Karolina van Ede-Tzenvirt**,

karolina.vanedetz@kalejdoskop.co.il

Redaktor artystyczny, skład, fotoedycja: **Patryk Piotr Antoniak**,

patryk@kalejdoskop.co.il

Fotograficzka: **Anna Majewska**,

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów i zastrzega sobie prawo do redagowania, skracania lub niepublikowania przesłanych tekstów.

Opinie wyrażone w nadesłanych tekstach są subiektywnymi opiniami autorów i nie muszą odzwierciedlać stanowiska wydawcy i redakcji „Kalejdoskopu”.

Współpraca: **Ewa Szubstarska-Stein**,

Kierowniczka ds. marketingu: **Daniela Malec**,

Kierowniczka ds. funduszy: **Esther Fuerster-Ashkenazi**,

Opieka prawna: **Gosia Gilad**,

Kontakt z redakcją: redakcja@kalejdoskop.co.il

Okladka I fot. **Anna Majewska, Patryk Piotr Antoniak**

Okladka IV fot. **Amir Goldstein**

www.kalejdoskop.co.il

ROZMOWA

W ciągłym ruchu | 6

z tancerką i choreografką Yasmeen Godder
rozmawiają Ewa Szubstarska-Stein i Karolina van Ede-Tzenvirt

TEMAT NUMERU

Piąta obręcz | 10

Karolina van Ede-Tzenvirt

TEMAT NUMERU

Imienniczka Chopina | 14

Fryderyka Tzipi Bauman

TEMAT NUMERU

Ihije beseder | 18

Esther Fuerster-Ashkenazi

OPOWIADANIE

Horyzont | 20

Tytus Kamil Rolski

KSIĄŻKI

Podwójne życie Koluszek | 23

Agata Krizevski

ZNALEZIONE NA STRYCHU

Dowód pochodzenia | 26

Julia Borysenko

OBRAZ

Mecha'a | 28

Amir Goldstein

WYDARZENIA

4 | Zapowiadamy i relacjonujemy

redakcja

TEMAT NUMERU

8 | Kultura ruchowa

z Patrycją Zasławską i Erykiem Packiem rozmawia Julia Borysenko

TEMAT NUMERU

12 | Wizjoner syjonistycznej prawicy

Dominik Flisiak

TEMAT NUMERU

16 | Przeminięło z piaskiem

Rina Bodankin

POEZJA

19 | Zostawić ślad

Krzysztof Mich

SZTUKA

22 | Komu bije carillon

Anna Kasprzycka

ŻYCIE NA BLISKIM WSCHODZIE

24 | Taniec i rewolucja

Barbara Urban-Nino

SMAK IZRAELA

27 | Szybko, lekko, pysznie

Karolina van Ede-Tzenvirt

Znajdź nas na Facebooku i Twitterze:

Kalejdoskop. Kwartalnik polskojęzyczny w Izraelu.

Projekt jest finansowany
w ramach funduszy polonijnych Ministerstwa Spraw
Zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej.



Ambasada
Rzeczypospolitej Polskiej
w Tel Awiwie

Partner numeru:



Organizujesz wydarzenie ciekawe
z punktu widzenia naszej społecz-
ności? Pozwól nam o tym napisać!

Czekamy na kontakt:

redakcja@kalejdoskop.co.il

ZAPOWIEDZI

PAMIEĆ

Telawiwskie obchody 80. rocznicy powstania w getcie warszawskim



19 kwietnia przypada 80. rocznica powstania w getcie warszawskim. Z tej okazji w siedzibie Izraelskiej Orkiestry Filharmonicznej w Tel Awiwie odbędzie się uroczysty koncert pod hasłem „Remembering together” zamykający jednocześnie obchody Dnia Holokaustu w Izraelu. Orkiestrą pokieruje wybitny polski dyrygent i promotor muzyki żydowskich kompozytorów - Łukasz Borowicz. W programie koncertu „Adagietto” Krzysztofa Pendereckiego z opery „Raj utracony”, Koncert na trąbkę Mieczysława Weinberga w wykonaniu Reinholda Friedricha oraz VII Symfonia Ludwiga van Beethovena.

W ramach akcji Żonkile widowni rozdane zostaną papierowe przypinki. To tradycja zainspirowana gestem Marka Edelmana, jednego z przywódców powstania, i promowana przez POLIN od dziesięciu lat.

Koncert odbędzie się 18 kwietnia o godzinie 19:00 w Charles Bronfman Auditorium w Tel Aviv Cultural Center przy ul. Hubermana 1.

Organizatorami koncertu są Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN, Izraelska Orkiestra Filharmoniczna, Muzeum Getta Warszawskiego, Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Żydów w Polsce oraz Żydowski Instytut Historyczny im. Emanuela Ringelbluma przy współpracy z Ambasadą RP i Instytutem Polskim w Tel Awiwie oraz organizacją ELNET.

„Kalejdoskop” objął wydarzenie swoim patronatem medialnym. Dla naszych Czytelników mamy 5 podwójnych zaproszeń na to wydarzenie – prosimy o kontakt pod adresem: redakcja@kalejdoskop.co.il.



fol. Maciej Jaźwiecki

MUZYKA

Dzieci w hołdzie bohaterom



8 marca w Kiriath Motzkin w ramach projektu Centrum Mashmaut i Muzeum Getta Warszawskiego odbył się wspólny koncert Chóru Dziecięcego Miasta Łodzi i izraelskiego zespołu Kova Temble. Chór z Łodzi wykonał utwory w języku jidysz, hebrajskim i polskim. Punktem kulminacyjnym było odśpiewanie przez jedną z polskich uczestniczek pieśni „Jeruzalaim szel zahav” [hebr. Jerozolima ze złota].

Młodzieżowe chóry z Polski i Izraela biorą udział w wymianie oraz w serii wspólnych koncertów w obu krajach upamiętniających Dzień Pamięci o Holokauście i Dzień Niepodległości Izraela. Szczególnie ważny będzie dla nich warszawski występ 19 kwietnia w trakcie obchodów 80. rocznicy wybuchu powstania w getcie.

LITERATURA

Spotkania z Hanką Grupińską



fol. Mikołaj Starzyński

Pisarka, dziennikarka, reportażystka, współautorka wystaw oraz autorka projektów historii mówionej i książek poświęconych pamięci polskich Żydów odwiedzi Izrael z okazji hebrajskiego wydania jej książek: „Ciągłe po kole. Rozmowy z żołnierzami getta warszawskiego” oraz „Odczytanie listy. Opowieści o warszawskich powstańcach ŻOB”. Obie książki ukażą się w jednym tomie nakładem Wydawnictwa Ktav z okazji 80. rocznicy powstania w getcie warszawskim. Hanka Grupińska przyjeżdża na zaproszenie Instytutu Polskiego w Tel Awiwie oraz Interdyscyplinarnego Centrum Studiów Polskich na Uniwersytecie w Hajfie.

Autorka spotka się z publicznością na dwóch wieczorach autorskich w języku angielskim na Uniwersytecie w Hajfie (18 kwietnia) oraz w Beit Ariela w Tel Awiwie (30 kwietnia).

PAMIĘĆ

Spotkania z historią

27 kwietnia o godzinie 17:00 w bibliotece zabytkowego osiedla Ficusus w Rudzie Śląskiej odbędzie się kolejne spotkanie z historią, kulturą i tradycją Izraela i Żydów. Tym razem tematem będzie 80 rocznica powstania w getcie warszawskim. Prowadzący je Sebastian Kolon to historyk, nauczyciel i absolwent Międzynarodowego Centrum Edukacji o Auschwitz. Miasto Ruda Śląska włączyło spotkania z historią Żydów i Izraela do cyklu „Twórczy czwartek na Ficususie”.

Nad wykładem patronat medialny objął nasz kwartalnik.

WYDARZYŁO SIĘ

MUZYKA

Polski jazz w Ejlacie



fot. Peter Vit

Motion Trio – polskie akordeonowe trio jazzowe - wystąpiło 23 lutego na Red Sea Jazz Festival w Ejlacie. Uznany na całym świecie zespół z Polski w swoim repertuarze prezentuje aranżacje łączące jazz z muzyką klasyczną i rockiem. W 2016 roku muzycy zdobyli nagrodę w kategorii „Najlepsza muzyka filmowa” na Festiwalu Filmowym w Gdyni za ścieżkę muzyczną do filmu „Szczęście świata” w reżyserii Michała Rosy.

LITERATURA

Jacek Dehnel i Ewa Lipska na festiwalu poezji



fot. Kuba Dąbrowski



fot. Max Pfliegel

Tegoroczny międzynarodowy festiwal poezji „Poetry Place” w Jerozolimie gościł świetnych polskich poetów: Jacka Dehnela, którego tomik „Miasta dalekie” ukazał się w hebrajskim przekładzie autorstwa Hanny Herzig, oraz Ewę Lipską. Zapisy spotkań można znaleźć na facebookowej stronie festiwalu - מקום לשירה Poetry Place.

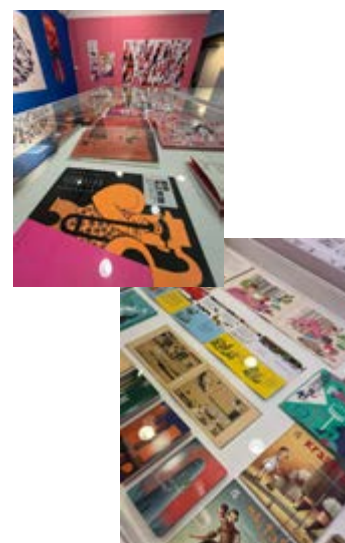
SZTUKA

Wystawa fotografii Warszawa - Mariupol



Poruszająca wystawa zatytułowana „Warszawa – Mariupol – miasta ruin, miasta walki, miasta nadziei” odbyła się w dniach 22-27 lutego w Centrum Kultury przy ul. Yermiyahu 22 w Tel Awiwie. Ekspozycja prezentowała 16 fotografii przedstawiających zniszczoną Warszawę z okresu powstania warszawskiego w 1944 roku w zestawieniu ze zbombardowanymi w 2022 r. - Mariupolem i podkijowskimi miejscowościami. Imprezę zorganizowały wspólnie: Instytut Polski w Tel Awiwie, Ambasada Ukrainy w Izraelu i Centrum Kultury Ukraińskiej w Tel Awiwie. Patronem wystawy był Klub Fotograficzny „B'Tzalmeno” pod kierownictwem Dubi'ego Feinera.

Polska ilustracja



fot. Kinga Duda


Do 14 marca w budynku kampusu Har Hatzofim Uniwersytetu Hebrajskiego można było obejrzeć wystawę „Od Szancera do sztuki cyfrowej: polska ilustracja i animacja, od klasyki do współczesności”. Zorganizowały ją wydział sztuk ekranu Akademii Becelela we współpracy z Pattern Recognition i Instytutem Polskim w Tel Awiwie.

Wystawa przedstawiała historię polskiej ilustracji od 1920 roku do współczesności, klasyczną i współczesną ilustrację książkową, a także sztukę cyfrową stworzoną na potrzeby gier komputerowych i filmów - począwszy od klasycznych dzieł ilustratora Jana Marcina Szancera po współczesne dzieła wielokrotnie nagradzanej reżyserki animacji Marty Pajek oraz projektantki gier komputerowych Bożeny Chądzyńskiej.

W ciągłym ruchu

z tancerką i choreografką Yasmeen Godder rozmawiają Ewa Szubstarska-Stein i Karolina van Ede-Tzenvirt

(ur. w 1973 r.) - światowej sławy izraelska choreografka i tancerka. Założycielka Godder Dance Company z siedzibą w Jafie. Twórczyni projektu "Moving Communities" - inicjatywy społecznej tworzącej przestrzeń do dialogu pomiędzy różnymi społecznościami. Od 2019 roku zaangażowana w projekt "Practicing Empathy", z którego narodziło się szereg performansów, wydarzeń i warsztatów. Współpracuje z Batsheva Dance Company, Theater Freiburg oraz Candoco Dance Company.



Taniec jest ulotny, buntowniczy. Nie można go zabrać ze sobą – można go jedynie doświadczyć. Może stać się narzędziem do tworzenia więzi, platformą spotkania i interakcji. Także dla tych, którzy nie mają z nim nic wspólnego.

fot. Anna Majewska

Spotykamy się w Twoim studiu w Jafie. Czy to miejsce ma dla Ciebie szczególne znaczenie?

Urodziłam się w Jerozolimie, ale dzieciństwo spędziłam w USA. Po powrocie zamieszkałam w Jafie. Stała się dla mnie bardzo ważna i do dziś pozostaje moim domem. Jej wyjątkowy charakter ukształtował to, kim dziś jestem, i jest ogromną częścią mojej tożsamości.

Co cię w niej najbardziej zainspirowało?

Niektóre miejsca w Izraelu są bardzo homogeniczne: mieszkańcy wyznają tę samą religię, utożsamiają się z tymi samymi wartościami. W Jafie mam możliwość obcowania z ludźmi o różnym pochodzeniu, głównie z Żydami i Arabami. Po przyjeździe powoli zaczęłam angażować się w życie lokalnej społeczności. Zaczęłam od znajomości z szefową arabsko-żydowskiego domu kultury w dzielnicy Ajami. Stworzyliśmy razem kilka projektów. Wtedy też zostałam mamą.

Jak te wszystkie doświadczenia wpłynęły na Twoją karierę taneczną?

Mieszkanie tutaj mnie zmieniło. Jako tancerka i choreografka zawsze zastanawiam się, jak wykorzystać taniec jako narzędzie do tworzenia więzi, i jak stworzyć podłoże do spotkania i interakcji z ludźmi. Przede wszystkim z tymi, którzy nie mają nic wspólnego z tańcem.

Kilka lat temu pracowaliśmy nad projektem warsztatów dla ludzi chorych na Parkinsona. Wtedy zaczęłam badać temat empatii

- zrozumienia, otwarcia się na drugiego człowieka. Postanowiliśmy razem z moją grupą taneczną stworzyć warsztaty dla tych, którzy są od nas odmienni – dotrzeć do różnych społeczności, grup wiekowych, osób w różnym stanie fizycznym. Jednym z projektów, który z tego się narodził były trzyletnie warsztaty dla żydowskich i palestyńskich kobiet - Na'ot Ma' Ba'ad.

Z kolei projekt dla chorych na Parkinsona nosił nazwę Störung/Hafraah i zrobiłaś go we współpracy z teatrem Theater Freiburg w 2015 roku.

Przez rok pracowaliśmy z grupą tancerzy, naukowców i chorych na Parkinsona. Zgłębialiśmy problem neurologicznych i psychologicznych wyzwań, jakie niesie ze sobą ta choroba. Chcieliśmy nauczyć się, jak wykorzystać taniec, by pomóc chorym cieszyć się swoim ciałem. Choroba odcina z nim kontakt. To powoduje złość, depresję. Taniec daje narzędzia potrzebne do tego, by ponownie ten kontakt nawiązać.

To dało mi też inną perspektywę. Taniec jest w pewnym sensie zajęciem elitarnym, zarezerwowanym dla młodych, szczupłych, tych w dobrej kondycji fizycznej. Na tamte zajęcia przyszli ludzie o innych cechach fizycznych, w różnym wieku i o różnym poziomie sprawności. Uczyliśmy się od innych, od siebie nawzajem. Na przykład tego, jak ubierać w słowa to, co zwykle przedstawialiśmy ruchem. To było dla nas zupełnie nowe: pracowaliśmy z ludźmi niezwiązanymi z tańcem, a więc musieliśmy znaleźć sposób na komunikację.

To dało nam dostęp do wielu innych warstw wiedzy, musieliśmy wykazać się elastycznością - myślowo i emocjonalnie. Widz otrzymuje gotowy produkt, ogląda przedstawienie i podoba mu się to wizualnie. Ale pod tym kryje się tak wiele więcej, cały proces nauki, który zresztą nigdy się nie kończy.

Zaczęliśmy zapraszać widzów do wzięcia udziału w tym, co dzieje się na scenie. Moi tancerze - dzięki procesowi który przeszliśmy - nauczyli się nie tylko pokazywania pracy z fizycznością, ale też tego, jak zapraszać innych do wspólnego odkrywania siebie poprzez ruch.

To szalenie pojemny termin. Czym jest dla Ciebie ruch?

Ruch ma dla mnie wiele znaczeń. To m.in. przetrwanie. Pozwolił mi przetrwać wyjazd za granicę. Byłam małą dziewczynką, nie znałam angielskiego, byłam w obcym miejscu. Ruch pomógł mi nawiązać kontakt ze sobą, stworzyć dom. A potem przyjechałam tutaj, i znów taniec mnie ratował. Również finansowo, bo w końcu to także moja praca.

Jest terapeutyczny - na poziomie fizycznym oczywiście, ale też mentalnym. Pozwala na otwarcie umysłu na zmianę, inną perspektywę.

Ale ruch może też być przeżyciem traumatycznym - moja przeprowadzka do Ameryki, potem powrót tutaj; migracje moich dziadków w 1948 r.: jednych z Polski, drugich z Syrii.

To są ciężkie historie. Fascynuje mnie zresztą to przejście z aspektu pozytywnego do traumatycznego.

Ruch to również wolność. Mam tu na myśli wolność ruchu także w wymiarze geopolitycznym. Szczególnie tu, w Izraelu, gdzie temat granic był zawsze bardzo delikatny i sporny. Żyjemy trochę jak w zamkniętej klatce. W Ameryce granice prawie nie istnieją.

Jaki jest proces tworzenia spektaklu? I jaki w tym udział mają ci, którzy nie są profesjonalnymi tancerzami?

Widzowie, którzy przychodzą na nasze spektakle, zapraszani są na scenę. Nie występują jednak, lecz uczestniczą. Są częścią tworzenia.

Od czasu mojej pracy w Theater Freiburg zaczęłam częściej tworzyć warsztaty interaktywne. Z tego narodziły się dwa przedstawienia. Widzowie natychmiast zareagowali: wielu powiedziało mi, że nie tylko zaobserwowali empatię, ale też jej też doświadczyli.

Mówi się, że empatia to umiejętność przyszłości.

To oczywiście nie jest proste. Nie każdy jest gotów na konfrontację z kimś odmiennym, z innego środowiska, z innymi poglądami politycznymi. A przecież tak ważne jest, byśmy umieli się ze sobą spotykać w człowieczeństwie.

Myślę, że w Izraelu niewystarczająco praktykuje się empatię. Dotyczy to zarówno sposobu widzenia naszych sąsiadów jak i nas samych, w ramach naszych zróżnicowanych społeczności. Nie chodzi mi o budowanie mostów, lecz o widzenie siebie nawzajem. Nie zawsze możemy się rozumieć

czy zgadzać z poglądami, ale możemy się nawzajem widzieć, słyszeć, czuć swój ból. I tak, w 2019 roku, zaczęłam wraz z moją grupą taneczną badać słowo „empatia” w różnych sytuacjach, z różnymi grupami ludzi. Z tego narodziły się trzy przedstawienia. Jedno z nich, z powodu covidu, przerodziło się w solo. To było zaskakująco ciekawe doświadczenie. Odkryłam wówczas koncept empatii wobec samej siebie.

Jak rodził się projekt “Ćwiczenie empatii”? I jak właściwie pokazać empatię na scenie, w ruchu?

Organizowaliśmy warsztaty, na które zapraszaliśmy ludzi z różnych środowisk i kręgów, dzieci, chorych na Parkinsona, imigrantki. Dla każdej grupy tworzyliśmy oddzielne, sztywne na miarę warsztaty.

Na spotkaniach pracowaliśmy nad różnymi emocjami. M.in. z mantrą “chcę, potrzebuję, boję się”. Rzucaliśmy hasło “chcę” i prosiliśmy uczestników o podzielenie się ich odczuciami, o pokazanie tego ciałem, ruchem, ale nie tylko. Może to brzmieć abstrakcyjnie, ale emocje mogą być przetłumaczone na język ruchu, język ciała i my, tancerze reagowaliśmy na tą informację.

Po angielsku słowa *emotion* i *motion* (emocja i ruch) są sobie bardzo bliskie.

Tak. Pewnego dnia ktoś z grupy chorych powiedział: “to, co robisz, pozwala mi na chwilę zapomnieć o chorobie, poczuć się znów człowiekiem”. To naprawdę nas poruszyło.

Taka interakcja pozwala nam zgłębiać temat empatii, odkrywać jej wielowarstwowość, w końcu - tworzyć. Z każdego przedstawienia

czierpiemy nową wiedzę, jesteśmy w ciągłym ruchu. Tu nie chodzi tylko o doświadczanie empatii, ale też o jej ćwiczenie. W czasie pandemii powstało jeszcze jedno przedstawienie: “Empatia dwa na dwa” – gdzie cztery osoby stały w rogach kwadratu, tak aby zachować te przepisowe dwa metry dystansu. Jediną rzeczą, którą miały robić, był tzw. mirroring, czyli powtarzanie ruchów drugiej osoby. Przez 25 minut artyści i widzownia byli połączeni tym dostrzeganiem siebie. Bycie razem w ruchu stało się jakby trzecim bytem na scenie.

Taniec współczesny jest specyficzny, dla wielu wręcz niezrozumiały. Z jakim nastawieniem należy przyjść na spektakl, by go dobrze przeżyć i się nie zniechęcić?

Człowiek przyzwyczajony jest do pewnego standardu ruchów ciała: nauczono nas, jakie ruchy są przyjęte, a jakie nie. Na scenie widzimy tancerza, który porusza się w nieznamy nam sposób. Pierwszym odruchem jest odrzucenie. Radzę widzowi: po prostu tam bądź. Przyjmij to, co widzisz, w taki sposób, jaki przychodzi ci do głowy. Jeśli najdzie cię jakaś myśl, to z nią zostań. Wiele osób na siłę chce zrozumieć przekaz. Frustrują się, jeśli od razu go nie rozumieją. A przekaz nie zawsze trzeba rozumieć. Skup się na doświadczaniu, na tym, co się w tobie otwiera. I to już jest wielka sprawa - gdy sztuka może nas dotknąć w środku.

Taniec jest ulotny, nie można go zanieść do domu. Jest buntowniczy. Trzeba go doświadczyć. To właśnie jest w nim piękne.



fot. Anna Majewska



fot. Tamar Lamm



fot. Tamar Lamm



EWA SZUBSTARSKA-STEIN

(ur. w 1980 r.) - z wykształcenia socjolożka, psychoterapeutka tańcem i ruchem, performerka, choreografka i nauczycielka. Przez ostatnie dziesięć lat nauczycielka i kierowniczka Szkoły Polskiej w Tel Awiwe. Od lat organizuje warsztaty i projekty artystyczne po polsku dla dzieci w Izraelu w ramach grupy „Ilustracja”.



KAROLINA VAN EDE-TZENVIRT

(ur. w 1977 r.) - dziennikarka, autorka, prelegentka i prowadząca program kulinarno - kulturowy o Izraelu „Feesten & Falafels” w holenderskiej telewizji Family 7. Działaczka na rzecz dialogu arabsko-żydowskiego w Jerozolimie. Redaktorka „Kalejdoskopu” i wydawczyni portalu. Prywatnie żona i matka trójki dzieci, mieszkająca w Izraelu od ponad 20 lat.

Kultura ruchowa

z Patrycją Zasławską i Erykiem Pacek
rozmawia Julia Borysenko

Nowy kraj poznaje się zwykle przez jego historię, język czy kuchnię. Patrycja Zasławska i Eryk Pacek, oboje świeżo po aliji, wybrali nieco inną drogę: Izrael poznają przez ruch. W swoim projekcie Move On Together Israeli Way łączą różne izraelskie techniki pracy z ciałem i są pewni, że ruch może być czymś więcej niż zwykłym treningiem lub sesją taneczną.

Julia Borysenko: W Izraelu mówi się często o lokalnej kulturze ruchowej. Wyjaśnijmy na początek to pojęcie. Czy chodzi o taniec? Sport? Fizjoterapię?

Patrycja Zasławska: O wszystko po trochu. Najlepiej obrazuje to idea Movement Culture promowana przez nauczyciela Ido Portala. Odkryłam ją podczas mojej pierwszej wizyty w Izraelu. Movement od innych metod różni to, że łączy on dużo dziedzin sportu i kładzie szczególny nacisk na świadomość poruszania się w trakcie ćwiczeń, a nie na liczbę lub siłę ich wykonania. Odkrycie tej metody było dla mnie czymś niesamowitym: proste, z przekazem, dokładnie to, co zawsze chciałam w życiu robić. Dzięki tej metodzie zaczęłam łączyć wszystkie rodzaje ćwiczeń, które już znałam. A w życiu robiłam dużo: jeździłam na nartach, biegałam, skakałam wzwyż, w dal, grałam w siatkówkę, ćwiczyłam judo, później ukończyłam kurs nauczyciela jogi. Następnie poznałam Gagę. To kolejny styl, który pochodzi z Izraela i jest językiem ruchu tancerzy, daje dużo swobody, wolności, możliwości odkrywania swojego ciała. Zastanowił mnie fakt, że wszystkie te metody powstały tutaj: w kraju, który jest inny od pozostałych, intensywny, który tak kocham. Koleżanka podpowiedziała mi: jedź do Izraela na Masę [program edukacyjny dla młodych osób o pochodzeniu żydowskim – red.], znajdź program, gdzie możesz tańczyć i cieszyć się życiem. Znalazłam Kibbutz Contemporary Dance Company i powiedziałam: ok, jadę. I wtedy właśnie poznałam Eryka.

Poznaliście się podczas programu Masa?

Patrycja: Poznaliśmy się na Taglicie, 10-dniowym wyjeździe do Izraela poprzedzającym Masę. Wtedy jeszcze nie miałam żadnego doświadczenia tanecznego, a poznanie Eryka, który jest tancerzem, było dla mnie znakiem, że idę w dobrym kierunku. Chwilę potem

zaczęła się pandemia, więc postanowiliśmy razem zrobić projekt związany z naszymi pasjami, a przy okazji zafunkcjonować w mediach społecznościowych. Po jakimś czasie znajomi z Hillel Warszawa – organizacji, w której się udzielałam – podpowiedzieli, że jest możliwość otrzymania grantu na nasz projekt związany z ruchem. Znalizmy już Gagę, znaleźliśmy Movement Culture. Zaczęliśmy szukać dalej. Odkryliśmy metodę Feldenkraisa, metodę Ilana Leva i izraelski folklor. Okazało się, że jest więcej technik izraelskich, o których nie mieliśmy wcześniej pojęcia. Zapragnęliśmy pójść w tym kierunku.

Eryku, a jaka była Twoja droga?

Eryk Pacek: Kiedy spotkałem się z Patrycją, byłem przejeżdżony tańcem. Chciałem skończyć karierę sceniczną.

A więc całkiem odwrótnie niż Patrycja!

Eryk: Tańczyłem od małego. W Polsce chodziłem do szkoły baletowej, jako dziecko wsadzono mnie do pudełka z napisem „tancerz”. Panuje przekonanie, że jeśli twoim zajęciem jest balet, to musisz robić tylko to. A to było trudne środowisko. Nie czułem przyjemności z tańca. Wreszcie poznałem Patrycję, która w tym czasie uczyła jogi. Dzięki niej zacząłem się nią interesować, dowiedziałem się też od niej, że jest coś takiego jak Movement Culture. Nagle poczułem, że wcale nie muszę pozostać w tym baletowym pudełku, które zbyt dobrze już znałem ze szkoły baletowej.

Patrycja: Powiedziałam do Eryka: pojedź ze mną do Izraela i zobacz, że taniec może mieć zupełnie inną odsłonę. To nie trening baletowy, który znasz, który jest schematyczny i powoduje kontuzje. Pojechaliśmy. Na programie Masa mieliśmy nauczycieli, którzy byli praktykami Feldenkraisa, Ilana Leva, i wplatali te

metody w swoją praktykę. Pokazywali nam, jak rozgrzać ciało w zasadzie nie przemęczając się, ale pracując mądrze. Przez 5 miesięcy tańca, 10 godzin dziennie nie złapaliśmy żadnej kontuzji. Tylko dlatego, że pracowaliśmy w mądry i świadomy sposób.

Jak wspominaliście swoje życie w kibucu Ga'aton, w którym mieszkaliście podczas programu „Kibbutz Contemporary Dance Company”?

Patrycja: Kibuc nazywany jest wioską taneczną. Miejscem, w którym wszystko obraca się wokół tańca.

Eryk: Nie był to więc standardowy kibuc. To, w czym braliśmy udział, było raczej zamkniętym programem, w którym opłacaliśmy swoje miejsce do mieszkania, a 90% czasu spędzaliśmy w studio. Tańczyliśmy, pracowaliśmy artystycznie i ćwiczyliśmy. Poza tym zaczerpnęliśmy też trochę z kibucowego życia. Raz w miesiącu odbywały się dni kibucu, podczas których dzieci sprzedawały ciasta albo pizzę, którą same robiły. Zbierały w ten sposób pieniądze na swoje potrzeby. Wszyscy razem wychodzili wieczorem z domów i wspólnie spędzali czas. Nasz program taneczny organizował 20-30 minutowe pokazy taneczne dla dzieci z okazji świąt. Pod koniec każdego występu dzieci były zapraszane na scenę i wszyscy tańczyli razem. To też jest super, że życie taneczne tej wioski angażuje ludzi z zewnątrz.

A więc wasz pomysł na Move On Together pojawił się jeszcze przed Izraelem, ale będąc w kibucu go doprecyzowaliście.

Patrycja: Tak. Tam też poznaliśmy nauczycieli, którzy nas zainspirowali. Gdy wyjechaliśmy z kibucu do Tel-Awiwu, zaczęliśmy od razu pracować nad zorganizowaniem warsztatów pełną parą. Już wiedzieliśmy, czego chcemy, mieliśmy kontakty do tancerzy i praktyków metod.



Eryk: Patrycja na początku postanowiła porozmawiać z twórcą jednej z metod, Ilanem Levem.

Patrycja: Napisałam do niego maila – chciałam się z nim spotkać i powiedzieć mu, że chcę przedstawić jego metodę na naszych warsztatach. Zaprosił mnie do siebie do domu, poznałam jego żonę, dzieciaki, psa. Wtedy zrozumiałam, że ta metoda to jest coś więcej niż tylko ruch. To jest to, jak on żyje i jakim jest człowiekiem. Obecnie umawiamy się z nim na krótkie wywiady, aby opowiedział więcej o swojej historii. Ma 86 lat. Chcę wiedzieć, jak myślał jako 20-letni chłopak lub 40-letni mężczyzna, bo stworzył swoją metodę dopiero po sześćdziesiątce. Te nagrane wywiady planujemy potem umieścić na naszej stronie internetowej.

W swoim projekcie łączycie pięć różnych metod. Jedną z nich są izraelskie tańce ludowe. Ale cztery pozostałe to już metody autorskie: metoda Feldenkraisa, Ilana Leva, Gaga i Movement Ido Portala. Czym różnią się między sobą?

Eryk: Pozornie te metody są do siebie bardzo podobne, i choć istotnie czerpią z siebie nawzajem inspiracje, jednak różnią się od siebie dziedzinami życia oraz intencjami, które przyczyniły się do ich stworzenia. Metoda Feldenkraisa i Metoda Ilana Leva są alternatywną terapią fizyczną. Gaga jest językiem ruchowym wykorzystywanym jako suplement i narzędzie dla tancerzy, żeby mogli wykrzesać z siebie jeszcze większy potencjał. Movement Culture jest nową filozofią życia i metodą sprawnego treningu fizycznego. Tańce izraelskie jest to pierwsza forma kultury "współczesnego Izraela".

Patrycja: Metoda Feldenkraisa była pierwszą ze współczesnych metod. Zresztą Feldenkrais był nauczycielem Ben-Guriona – słynny wizerunek premiera stojącego na głowie na teliwiskiej plaży wiąże się właśnie z jego fascynacją tą metodą. Główna intencja jej twórcy wynikała z chęci uleczenia własnej kontuzji, a wraz z upływem czasu jego ćwiczenia zyskały na popularności. Metoda Feldenkraisa opiera się na założeniu, że istotą życia jest ruch i zmieniając sposób poruszania się danej osoby zmieniamy jej całe życie. Praca w metodzie kierowana jest do wewnątrz, wszystkie ruchy są minimalne i bardzo świadome.

Eryk: Metoda Ilana Leva jest ewolucją terapii manualnej metody Feldenkraisa (jest ona najczęściej wykonywana w formie ćwiczeń, ale również jako terapia manualna, w której praktyk pracuje z pacjentem na stole fizjoterapeutycznym). Tym, co odróżnia dwie metody, jest fakt, że Ilan zaczął „dodawać siebie” do praktyki. Pracując z pacjentem zaczął łączyć elementy pracy energetycznej (Reiki), wytrząsania oraz, jak sam to określał, wprowadzania ruchu i życia do ciała pacjenta. Postać Ilana Leva gra ważną

rolę w samej metodzie, gdyż jest on człowiekiem pełnym energii, którą pragnie dzielić się ze światem. Jego otwartość i energiczność są ważnymi czynnikami.

Patrycja: Powiedziałabym, że tym, co łączy te metody, jest fakt, że są stworzone dla wszystkich. Żyjąc w Izraelu zauważamy, że dba się tu o udogodnienia dla mieszkańców, by codzienne życie było lepsze i przyjemniejsze. Podobnie jest z przedstawianymi przez nas metodami.

Eryk: Przykładem jest tutaj również Yehudit Arnon, założycielka Kibbutz Contemporary Dance Company, która przyrzekła sobie, że jeśli przeżyje Holokaust, poświęci swoje życie tańcu. W kibucu Ga'aton założyła taneczną dla ludzi, którzy nie byli tancerzami, ale chcieli bawić się i tańczyć. Ohad Naharin, twórca Gagi, uczył się między innymi u Yehudit. Jego intencją przy tworzeniu Gagi była komunikacja swojej wizji artystycznej z tancerzami, gdyż standardowe metody taneczne nie spełniały jego wymogów. Inspiracjami dla Gagi była z kolei metoda Feldenkraisa (matka Ohada była praktykiem), metoda Ilana Leva oraz jego pasja i miłość do tańca. Gaga stawia na improwizację ruchową, doświadczenia somatyczne, świadomość ciała oraz na wiecznie trwające odkrywanie ruchu. Ohad szybko odkrył że Gaga nie musi służyć wyłącznie tancerzom i udostępnił ją dla publiki tworząc nurt Gaga/people, z którego każdy może czerpać przyjemność i wyrażać samego siebie poprzez taniec.

Jak teraz funkcjonuje wasz projekt od strony technicznej? Czy macie stały grafik swoich warsztatów? Widziałam, że prowadzicie je za granicą, między innymi w Polsce.

Patrycja: w tej chwili skupiamy się głównie na warsztatach eventowych. Naszym priorytetem jest współpraca z festiwalami kultury żydowskiej - chcemy pokazywać, że ruch to także kultura. Zeszłoroczna edycja odbyła się w Polsce, w pięciu miastach organizujących festiwale. Udało nam się dotrzeć do ponad tysiąca uczestników, którzy w aktywny sposób poznawali "nasz" Izrael. Do współpracy zaprosiliśmy 17 nauczycieli, których sprowadziliśmy z różnych krajów. W przyszłości planujemy poszerzyć zasięg i zorganizować podobne wydarzenia w Europie i Izraelu.

Kto zazwyczaj uczestniczy w waszych warsztatach? Czy to są profesjonalści, czy amatorzy?

Patrycja: To pytanie, które najczęściej pada przed zajęciami: czy muszą być profesjonalnym tancerzem, żeby przyjść na warsztaty? Odpowiedź brzmi: nie. Jeżeli chcesz się ruszać i jesteś ciekaw, przyjdź. Na pewno znajdzie się dla ciebie miejsce.

Eryk: Chciałbym, by nasz projekt pomógł też uczniom szkół baletowych. Większość z nich

ma zakodowane, że jako tancerze baletowi mają się trzymać tylko jednego stylu. Z projektem byliśmy już w mojej szkole w Poznaniu oraz w szkole baletowej w Gdańsku. Dla mnie dużą radością było to, że prezentowaliśmy dzieciakom metodę Ilana Leva, którą sam się teraz zajmuję. Uczniowie odkryli, że ich ciało może się zrelaksować i nie musi być w wiecznym śpięciu.



JULIA BORYSENKO

(ur. w 1995 roku w Kijowie) - studiowała psychologię kliniczną na Uniwersytecie SWPS w Warszawie. Uczestniczyła w programie Erasmus, podczas którego spędziła jeden semestr na Uniwersytecie Friedricha Schillera w Jenie. Obecnie mieszka w Jerozolimie. Od kilku lat współpracuje z polskim kwartalnikiem *Zupełnie Inny Świat*, gdzie między innymi koordynowała numer poświęcony tematowi Ukrainy.



PATRYCJA ZASŁAWSKA

(ur. w 1993 r.) - absolwentka Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu, nauczycielka jogi i Movement, współtwórczyni projektu „Move On Together Israeli Way”.

W 2021 roku spędziła semestr w Kibbutz Contemporary Dance Company pogłębiając technikę tańca współczesnego oraz poznając izraelskie metody ruchu. Obecnie pracuje w medycznym startupie w Tel Awiwie i pracuje nad dalszym rozwojem projektu.



ERYK PACEK

(ur. w 1998 r.) - absolwent Ogólnokształcącej Szkoły Baletowej w Poznaniu. Swoje doświadczenie zawodowe zdobywał w Zespole Pieśni i Tańca "Śląsk", a także dwukrotnie w Izraelu. Wraz z Patrycją współtwórca projektu „Move On Together Israeli Way” i absolwent programu w Kibbutz Contemporary Dance Company. Obecnie uczestniczy w kursie praktycznym metody Ilana Leva w Tel Awiwie.

Piąta obręcz

tekst Karolina van Ede-Tzenvirt



źródło: Jüdischen Museum München

Jaakow Springer - kaliszanin, zapaśnik i pionier podnoszenia ciężarów w Izraelu - jedzie w 1972 r. na olimpiadę w Monachium,

by dać świadectwo zwycięstwa życia nad śmiercią.

Tam zginie z rąk terrorystów „Czarnego Września”.

„Ta myśl, że przeżyłeś tyle okropności, i udało ci się to wszystko przetrwać... I dopiero tam, Monachium, w Niemczech, spotkałeś śmierć - nie odpuszcza” - napisze po latach w pośmiertnym liście do ojca jego córka Eugenia. Trumnę z ciałem witała we wrześniu 1972 r. wraz z rodzinami pozostałych zabitych na lotnisku pod Tel Awiwem. Zaledwie dzień wcześniej Jaakow Springer zginął z rąk palestyńskich terrorystów.

Igrzyska nadziei

Tamtego lata Jaakow Springer, zapaśnik oraz sędzia i trener podnoszenia ciężarów, jedzie na Letnie Igrzyska Olimpijskie w Monachium, by reprezentować Izrael. To ponad 30 lat po zakończeniu wojny - dla Izraela wciąż bardzo wcześnie. Pojawia się dyskusja, czy jechać do kraju, który tak niedawno był sprawcą przelania żydowskiej krwi. Zapada decyzja pozytywna: uczestnictwo Izraela w olimpiadzie odbywającej się w Niemczech ma przecież wymiar

symboliczny. Jaakow nie kryje jednak swoich obaw. Holokaust zabrał mu całą rodzinę.

To jego piąta olimpiada w karierze. „Piąta olimpijska obręcz” - jak pisze się o jego wyjeździe w izraelskich gazetach. Jaakow, „Kuba”, już po raz trzeci wyjeżdża na igrzyska w barwach Izraela. Rozpiera go duma: nie tylko jedzie do Niemiec jako Izraelczyk, ale też z podniesioną głową odśpiewa narodowy hymn, Hatikwę - to wszystko napawa go poczuciem zwycięstwa nad demonami przeszłości.

W olimpijskim miasteczku spotyka znajomych z poprzednich olimpiad - cieszy się już w środowisku pewnym prestiżem, jest nagradzany, szanowanym trenerem i sędzią. W domu czekają na niego dumna żona i dwoje dzieci. To historyczne wydarzenie: cały Izrael z zapartym tchem śledzi ceremonię otwarcia olimpiady, podczas której Izraelczycy niosą niebiesko-białą flagę z gwiazdą Dawida.

Dzień zguby

Zaczyna się drugi tydzień igrzysk. Springer jako sędzia miał mieszkać oddzielnie od pozostałych sportowców, woli jednak dołączyć do podopiecznych. 5 września nad ranem do wioski olimpijskiej wdzierają się ośmiu palestyńskich terrorystów, członków grupy „Czarny Wrzesień”. Napastnicy przedostają się do budynku, gdzie mieszka izraelska reprezentacja. Włamują się do jednego z mieszkań i biorą pierwszego zakładnika - zapaśnika Mosze Weinberga. Postrzelając go w twarz zmuszają do wskazania pozostałych mieszkań Izraelczyków. W ręce terrorystów dostaje się większość członków drużyny. Kilkorgu udaje się uciec. Jaakow Springer wraz z pozostałymi zakładnikami zostaje związany i położony obok ciała kolegi - Josefa Romano, zastrzelonego chwilę wcześniej. Nieudolna i flegmatyczna akcja niemieckich władz nie daje wiele rezultatów. Izraelski Mosad i siły specjalne nie zostają dopuszczone do zaangażowania się w sytuację.

Dopiero następnego wieczoru następuje przełom. Niemcy zgadzają się na postawienie samolotu, którym terroryści mogliby przetransportować zakładników do Egiptu i tam kontynuować negocjacje. „Czarny wrzesień” żąda wypuszczenia 234 Palestyńczyków przetrzymywanych w Izraelu.

Z miasteczka olimpijskiego porywacze i porwani przetransportowani zostają na lotnisko Fürstenfeldbruck w bazie lotniczej NATO za pomocą dwóch helikopterów. Na miejscu czeka na nich zasadzka. Niestety akcja jest źle zorganizowana, snajperzy nie mają wystarczająco dużo doświadczenia, a będący na miejscu szef Mosadu - Zvi Zamir gra rolę jedynie obserwatora. Akcją kieruje niemiecka policja. Wywołuje się chaotyczna strzelanina. Terroryści, rozumiejąc, że nie mają szans na powodzenie swojej akcji postanawiają rozstrzelać zakładników. Pierwszy, wraz z kolegami z pierwszego helikoptera, zostaje zastrzelony Springer. Ginie po północy 6 września 1972 roku. Dzień później jest z powrotem w Izraelu. Tym razem w metalowej trumnie.

„Do dziś nie mogę zaakceptować cierpienia, które przeszedłeś. Byłeś wrażliwy i szanowałeś godność każdego człowieka. Nawet nie chcę sobie wyobrazić, co tam przeżyłeś przez te potworne godziny” – napisze wiele lat później jego córka.

„Ruch to życie”

Jaakow Springer urodził się w Kaliszu 10 czerwca 1921 r. Wraz z rodziną, mamą Goldą i ojcem Aszerem oraz kilkorgiem rodzeństwa stanowił część 50-tysięcznej społeczności żydowskiej Kalisza. Miasto tętniło jej życiem: była synagoga, szpital, szkoły, gazety w jidysz i syjonistyczne organizacje polityczne. Już jako nastolatek młody Kuba interesował się sportem. Jego pasją był boks i podnoszenie ciężarów, które trenował w klubie sportowym Makabi.

W 1939 roku Jakub skończył 18 lat. Sielskie życie i marzenia o karierze sportowej zastąpił koszmar wojny. Jego rodzina została

deportowana do łódzkiego getta i tam zamordowana. Jakubowi jako jedynemu udało się uciec. Resztę wojny spędził w Związku Radzieckim. W wielu źródłach przeczytać można, że Springer uczestniczył w powstaniu w getcie warszawskim. Ten mit jednak demantuje w swojej książce „Stulecie przeszkód. Polacy na Igrzyskach” Daniel Lis. Gdy wybuchło powstanie, Springera już wtedy w Polsce nie było.

W Związku Radzieckim Springer wstąpił do komunistycznego Związku Patriotów Polskich. Po wojnie wrócił do kraju. W Warszawie skończył Akademię Wychowania Fizycznego. Specjalizował się w zapasach i podnoszeniu ciężarów. Wraz z dyplomem otrzymał status sędziego klasy międzynarodowej w podnoszeniu ciężarów. Podjął również pracę w jednym z warszawskich sierocińców, wszak sierot w powojennej Polsce nie brakowało.

„Ty, który straciłeś rodziców i rodzeństwo, postanowiłeś dać innym motywację do życia. Wierzyłeś, że nie można utknąć w miejscu, że trzeba być w ruchu, bo ruch to życie, a organizowanymi przez siebie zajęciami sportowymi dawałaś chęć do życia sierotom” – pisze córka.

Pierwszy zapaśnik Izraela

W tym samym czasie Springer zaczął piąć się po szczeblach sportowej kariery w powojennej Polsce. Wstąpił do partii komunistycznej, odnosił sukcesy jako bokser, i w końcu, dzięki swoim osiągnięciom i politycznym afiliacjom został powołany na szefa sekcji tzw. atletyki ciężkiej (boks, zapasów i podnoszenia ciężarów) w Głównym Komitecie Kultury Fizycznej w Ministerstwie Sportu. W 1952 i 1956 roku reprezentował Polskę na Igrzyskach Olimpijskich.

W latach 50. w Polsce i na najwyższych szczeblach władzy zaczęły narastać nastroje antysemickie. W 1957 roku Springer wraz z żoną Szoszaną, córką Eugenią i synem Aleksandrem wyemigrowali do Izraela. Tutaj „Kuba” kontynuował swoją karierę. Początki nie były łatwe: warunki w Izraelu były wówczas dość ciężkie,



no i trzeba było się nauczyć języka. Ale Springer dał sobie radę – szybko dostał pracę w klubie sportowym w Tel Awiwie. W Bat Yam uczył wychowania fizycznego w liceum i w szkole podstawowej, w Jafie opiekował się i trenował młodych z ośrodka dla trudnej młodzieży.

„Byłeś nauczycielem podziwianym przez swoich uczniów, a oni odpłacali Ci zdobywając pierwsze miejsca i trofea w zawodach. Twoi uczniowie uciekli z wojska, aby uczestniczyć w twoim pogrzebie, tak bardzo byłeś kochany i doceniany” – wspomina córka.

Podnoszenie ciężarów w tamtym czasie w Izraelu było jeszcze w powijakach. Springer okazał się kluczowy dla krajowych narodzin tej dziedziny sportu. To on miał wkrótce stworzyć narodową reprezentację, zostać jej trenerem i oficjalnym sędzią tego sportu. - To co najbardziej go ekscytowało, to uczenie – wspomina jego żona Szoszana.

Springer, jako uznany na arenie międzynarodowej sędzia, wziął udział jako reprezentant Izraela w dwóch kolejnych olimpiadach - w Rzymie w 1960 roku i Tokio w 1964 roku. Wyjazd do Monachium miał być dla niego symbolicznym zakreśleniem piątej olimpijskiej obřęczy.

Z ostatniego fragmentu listu córki: „Jestem twoją świecą pamięci. Mówi się, że człowiek umiera dwa razy, raz śmiercią fizyczną i raz, gdy nikt nie pamięta jego imienia. Wspominam więc o Tobie przy każdej okazji, piszę o Tobie, opowiadam. (...) Twoja córka Żenia”.

źródło: erinnerungsort-fuerstenfeldbruck1972.de



KAROLINA VAN EDE-TZENVIRT

(ur. w 1977 r.) - dziennikarka, autorka, prelegentka i prowadząca program kulinarno - kulturowy o Izraelu „Feesten & Falafels” w holenderskiej telewizji Family 7. Działaczka na rzecz dialogu arabsko-żydowskiego w Jerozolimie. Redaktorka „Kalejdoskopu” i wydawczyni portalu. Prywatnie żona i matka trójki dzieci, mieszkająca w Izraelu od ponad 20 lat.

Wizjoner syjonistycznej prawicy

tekst Dominik Flisiak

Rewizjonistom zależało na stworzeniu państwa żydowskiego po obu stronach Jordanu, a ich idee zdobyły popularność w międzywojennej Polsce. Ich wpływu nie brakuje dziś na izraelskiej scenie politycznej.



DOMINIK FLISIAK

(ur. w 1990 r.) doktor historii, badacz niezależny.

Tytuł naukowy uzyskał na Uniwersytecie

im. J. Kochanowskiego w Kielcach.

Autor wielu książek poświęconych społeczności

żydowskiej na ziemiach polskich.

Początkowo nie zapowiadało tego, że urodzony w 1880 r. w Odessie Włodzimierz Żabotyński kilkanaście lat później stanie się przywódcą pravicowego skrzydła syjonizmu. Jego rodzice byli częściowo zasymilowanymi rosyjskimi Żydami, a on sam z szacunkiem podchodził do rosyjskiej literatury o zabarwieniu liberalnym.

Zwrot w poglądach Żabotyńskiego nastąpił na przełomie XIX i XX w. pod wpływem wzrostu nastrojów antysemitycznych w carskiej Rosji, czego konsekwencją były m.in. pogromy i kolportowanie przez rosyjskich narodowców słynnych fałszywek - Protokołów Mędrców Syjonu. To właśnie wtedy Żabotyński stał się zagorzałym syjonistą. Podczas I wojny światowej współtworzył dwie organizacje wojskowe: Zion Mule Corps oraz Legion Żydowski, które wsparły wysiłek Wielkiej Brytanii w walce z ówczesną Turcją.

Syjonizm, czyli żydowski ruch odrodzenia narodowego, wyróżniał się wielością partii i młodzieżówek. Niektóre z nich reprezentowały idee lewicowe (Haszomer Hacair), centrowe (Ogólni Syjoniści), inne pravicowe (Mizrachi). W pierwszej połowie lat 20. XX w. Żabotyński stworzył Związek Syjonistów-Rewizjonistów. Jego aktywiści reprezentowali pravicowe skrzydło idei zmierzającej do odtworzenia państwa żydowskiego. W skład ruchu wchodziły organizacje młodzieżowe: Betar, Menora oraz paramilitarny Irgun Cwai Leumi.

Idea syjonizmu rewizjonistycznego zdobyła sporą popularność w międzywojennej Polsce, będącej wówczas krajem wieloetnicznym i wieloreligijnym, a także posiadającym jedną z najliczniejszych społeczności żydowskich. Powodów tego sukcesu było co najmniej kilka, a jednym z nich był szacunek dla polskiej kultury doby romantyzmu. Żabotyński w szczególności doceniał twórczość Adama Mickiewicza, upodobawszy sobie m.in. „Konrada Wallenroda”.

Nie bez znaczenia był również kult Józefa Piłsudskiego. Młodzi zwolennicy Żabotyńskiego, skupieni w Betarze, oceniali go jako niestrudzonego bojownika o wolność. Porównywali go do Tadeusza Kościuszki i Giuseppe Garibaldi.

Dla pravicowych syjonistów nie bez znaczenia był fakt legionowej działalności Piłsudskiego podczas I wojny światowej. Zwolennicy ruchu

doceniali odwoływanie się Piłsudskiego do dorobku wielokulturowej Polski przedrozbiorowej. Ta ostatnia kwestia wiązała się z programem Żabotyńskiego, który postulował stworzenie państwa żydowskiego obejmującego dzisiejszy Izrael, Autonomię Palestyńską oraz Jordanię, a przez to posiadającą dużą społeczność arabską.

Zupełnie inaczej syjoniści-rewizjoniści oceniali zwolenników Romana Dmowskiego, którym nie był obcy antysemityzm oraz faszyzm. Sens idei Dmowskiego był przez nich podważany w kilku punktach. Jeden z nich dotyczył czasów przed wybuchem I wojny światowej, kiedy zwolennicy Dmowskiego za wszelką cenę usiłowali znaleźć możliwość porozumienia z carską Rosją, co okazało się zadaniem niewykonalnym. Z kolei zwolennicy Żabotyńskiego, krytykując nieskuteczność polityki Dmowskiego, pozytywnie oceniali zbrojną działalność polskich socjalistów, w tym Piłsudskiego.

Jednak główne ostrze ich krytyki było wymierzone w antysemityzm stronników Dmowskiego. W ocenie syjonistów – rewizjonistów antyżydowskość polskiej prawicy miała być wyrazem swoistej demagogii politycznej, której celem było zniszczenie spójności w społeczeństwie międzywojennej Polski. Apologeci Dmowskiego mieli reprezentować rasistowski antysemityzm i poprzez wykorzystywanie ciężkiej sytuacji materialnej wywoływali niepokoje między Polakami oraz Żydami.

Po utworzeniu państwa Izrael wiosną 1948 roku prawica syjonistyczna stanowiła czynną siłę polityczną. Do połowy lat 70. XX w. syjoniści-rewizjoniści stali w opozycji do rządów, w których dominującą rolę odgrywała centro-lewicowa partia Mapaj. Dopiero w 1977 r. pierwszym nie lewicowym premierem Izraela został Menachem Begin. To podczas rządów Begin po odzyskaniu półwyspu Synaj Egipt uznał - jako pierwsze państwo arabskie - istnienie Izraela. Następnym premierem wywodzącym się z prawicy syjonistycznej był Icchak Szamir.

Dzisiaj idea stworzona przez Żabotyńskiego jest obecna przede wszystkim w programie partii Nasz Dom Izrael oraz, w mniejszym stopniu, w Likudzie. We współczesnym Izraelu idee pravicowego syjonizmu są obecne m.in. w kontekście poparcia dla rozbudowy osiedli na Zachodnim Brzegu Jordanu oraz optowania za liberalnymi rozwiązaniami w gospodarce.



Imienniczka Chopina

tekst Fryderyka Tzipi Bauman



fot. archiwum autorki

**Żydowska dziewczynka w 1957 r. żegna się ze swoim
Wrocławiem, zostawiając za sobą to, co znane i to,
co trudne. W Izraelu będzie już Cyporą, Izraelką.**

Kudowa Zdrój, lato 1957 r.

Nie miałam ochoty jechać na kolonie tego ostatniego lata przed naszym wyjazdem z Polski. Bardzo chciałam zostać we Wrocławiu, szczególnie wtedy, gdy zrozumiałam, że tata z nami nie wyjedzie. Ale byłam posłuszna, nie mogłam sprzeciwić się mamie.

Uroczą Kudową Zdrój. Byłam tam poprzednio z rodzicami. Tym razem pojechałam sama, i od razu poczułam się obco. Zjechało się dużo dziewcząt, ale z Wrocławia byłam tylko ja. Mania, moja najbliższa przyjaciółka, już wyjechała z rodzicami do Izraela, tak jak większość wrocławskich żydowskich rodzin. Po raz pierwszy znalazłam się w takiej sytuacji: jedyna Żydówka w gronie dziewcząt noszących na szyi medaliki. Trochę się obawiałam, że tu, tak jak w szkole, przyjdą zakonnice, będą się modlić, a mnie grzecznie wyproszą.

W szkole we Wrocławiu wypraszali nas grupowo, po tym, jak wznowiono lekcje katechizmu w latach 1955-56. Z koleżankami i kolegami było o wiele łatwiej: wychodziliśmy z klasy i powtarzaliśmy chórem, wybuchając śmiechem: "bo my jesteśmy wyznania mojżeszowego". Tak naprawdę sami do końca nie rozumieliśmy, co to znaczy. Było nas kilkoro: Grynberg, Lewkowicz, Berman, Krakowski, Kaplan, Kopel, Sender, Czerwiec, Kagan. Choć sytuacja nie należała do przyjemnych, było nam rażniej, bo w grupie.

Na kolonii zakonnice nie było, ale moje obawy nie okazały się bezpodstawne.

W jadalni przysiadłam się do dziewcząt z mojej grupy.

- Ty, jak masz na imię? - padło przy stole.

- Fredzia - odpowiedziałam.

- Fredzia???

- No, jak Chopin - spróbowałam. - Fryderyk - a ja jestem Fryderyka, Fredzia. - Wymieniły spojrzenia i chichoty. One miały na imię Marysia, Tereska, Małgosia, Anielka. To nic nie znaczy - próbowałam dodać sobie otuchy. Niech tylko nie pytają o nazwisko i czy chodzę do kościoła.

Naszą instruktorką była pani Stefa. Nie lubiłam jej. Nie wiedziałam, jak unikać jej wieczornego rytuału. Dziewczęta z długimi włosami miały przed snem owijać swoje wstążki na poręczach łóżka na znak, że są gotowe, by pani Stefa sprawdziła im głowę. Co wieczór się tego bałam. Nie podobały mi się jej spojrzenia i dotyk. - Opalona czy śniada? Oczy ciemne czy jeszcze nie umyte? - codziennie tak niby sobie żartowała, niby z sympatią szczyptała mnie w policzek. - No, Cyganeczka czy Żydóweczka? - uśmiechała się i pociągała trochę za mocno za włosy, rozplatając moje ciemne

warkocze. - Ona jest od Chopina - wtrącały moje współlokatorki, stale chichocząc.

Byłam na siebie zła. Po co wyskakiwałam z tym Chopinem? Mogłam powiedzieć, że mam na imię Halina - bo to było moje ulubione polskie imię. Rodzicom zmarło wcześniej dziecko - dziewczynka urodzona w Rosji podczas wojny. Czasami przybierałam jej imię i mówiłam ludziom, że jestem Halinka.

Jedyna życzliwa twarz należała do Elżbiety z sąsiedniego pokoju. - My też nie chodzimy do kościoła - pocieszała mnie. Zauważyła, że nie klękam do pacierza i że nie noszę medalika. Zrobiło mi się trochę raźniej. - Nie przejmuj się - dodała - To dobre, wiejskie dziewczyny.

Nie przestawało padać. - Zbliży się burza - wystraszyły się dziewczęta w naszym pokoju i zaczęły się modlić, stawiać na oknie ikony mówiąc, że boją się piorunów.

Nie wiem, jak to się zaczęło. Może zezłościło je to, że siedziałam na swoim łóżku, czytając spokojnie. - Ona się nie boi! - krzyknęła jedna z dziewcząt, wskazując na mnie. - Ona się nie modli! - zauważyła druga. - Niech wyjdzie z pokoju, bo Bozia nas nie usłyszy - powiedziała inna. - Tak jest, wyjdź z pokoju! - zgodziły się wszystkie. Wyszłam, wystraszona, obrażona, z płaczem na końcu nosa. Miałam 10 lat, byłam daleko od domu, od rodziców i od Ciebie, mój jedyny uwielbiany bracie - przy Tobie przecież zawsze czułam się bezpieczna. Takiego upokorzenia nigdy przedtem nie doświadczyłam.

Próbowałam sama siebie uspokajać - to proste wiejskie dziewczyny, tak, jak mówi Elżbieta. A przecież chciałam do nich przynależać, chciałam, żeby mnie lubiły. Wyrzuciły mnie za drzwi jak czarownicę. O, jak zabolalo! Żaliłam się Tobie w liście, a Ty mnie uspokoiłeś, snując opowieść o dalekim słonecznym kraju, naszym kraju. - Tam nikt już nie nazwie Cię „Żydóweczką”, no i będziesz sobie pomarańcze zjadała. Chyba, że ci powiedzą, żeś głupia, ale to już nie dlatego, że jesteś Żydówką - żartowałeś.

Nie mogłam się doczekać końca turnusu. Deszcz ciągle padał, Kudowa kąpała się tego lata w deszczu, tak jak ja kąpałam się we łzach za obrażoną dziewczęcą dumę, za utracony czas z tatusiem we Wrocławiu, za to utracone lato - to ostatnie przed naszym wyjazdem z Polski na zawsze.

Wrocław, październik 1957 r.

- Nic nikomu nie mów - powiedziałaś. - Wyjeżdżamy! Rodzice byli zajęci pakowaniem, likwidowaniem mieszkania, żegnaniem przyjaciół. Tatuś na razie zostanie w Polsce - tłumaczyłeś. Później wyjedzie z drugą żoną, Polką, do Ameryki.

Do szkoły więcej nie poszliśmy. Ulga. Po incydencie na kolonii już nie chciałam wychodzić z klasy przed poranną modlitwą. Prawie wszyscy znajomi już wyjechali. Wagarowaliśmy więc, ja i Ty, razem z Twoimi kolegami. Było fantastycznie: włoczyliśmy się razem po Wrocławiu, jedliśmy w restauracji, żegnaliśmy moje dzieciństwo i Twoje młodzińcze lata.

Nic nikomu nie mówiłam. Oddaliśmy książki do biblioteki. Pamiętam ich zapach - ten szczególny zapach szarych, wieloletnich okładek. Ostatnie urodziny mamy we Wrocławiu. Za skromne oszczędności kupiliśmy w kwaciarni na rogu Poniatowskiego i Jedności Narodowej trzy herbaciane róże. Żegnaj, polska jesieni!

Listopad, 1957 r.

Nic nikomu nie mówiliśmy, jednak na dworzec odprowadzał nas Twój klub piłkarski - cały klub IKS Ślęza we Wrocławiu, między nimi i ci, którzy

pisali w szatni „do Palestyny”. Ale więcej było tych, którzy żegnając Cię szczerze płakali. - Ty nasz, dlaczego wyjeżdżasz? - mówili. Grzegorz, Twój najbliższy przyjaciel, szlochał otwarcie. Żegnaj Grzegorzu, żegnajcie przyjaciele, żegnaj Wrocławiu.

Pociągając nosem tuliłam lalkę Halinkę i nowe wydanie „Ani z Zielonego Wzgórza”. Tatuś mnie przytulił. - Fredziuniu, w Izraelu będziesz miała nowe imię. Będziesz Cyporą, tak jak babcia Fajga (matka taty, zginęła w getcie warszawskim). Ale Fajga to w języku jidysz, a w Izraelu język jest hebrajski, więc tam będziesz Cyporą.

Izrael, parę lat później.

Miałam prawie dziewiętnaście lat. Byłam w mundurze wojskowym, opalona, zakochana, szczęśliwa. Jechałam na spotkanie z ukochanym. Pamiętasz Włodka? Jechałam do Ramat Awiw, gdzie mieszkała jego rodzina, czyli do „Gomułkowa”, zamieszkałego przez polską emigrację. Język polski można było tam usłyszeć wszędzie. Autobus był przepełniony. Dwie utlenione starsze panie rozmawiały po polsku. - Piękne rysy ma ta czarnulka, prawda? - powiedziała jedna do drugiej, przyglądając mi się uważnie. Nawet nie przypuszczały, że rozumiem. Chciało mi się dodać po polsku: - I na dodatek jest imienniczką Chopina!

Włodek czekał na przystanku. - Cześć, Chopinowa - ucieszył się, obejmując mnie.

Izrael, 55 lat po wyjeździe z Wrocławia.

Jestem Cypi, Cypora. Tak mnie wszyscy znają w Izraelu, Polsce i Nowym Jorku. Póki byłeś Ty, byli rodzice, byłam jeszcze trochę Fredzią, Fredziunią, Fejgale.

Jestem Cypi, ale w izraelskim dowodzie osobistym, w paszporcie i we wszystkich formalnych dokumentach pozostałam Fryderyką. - Cypora - Fryderyka dwojga imion - żartowałeś jak zwykle.

Często mnie pytają: „Co to za imię?” - a ja, Izraelka, Żydóweczka, Cyganeczka czy czarnulka, odpowiadam jak wtedy, na kolonii: - Tak jak polski kompozytor Chopin - odpowiadam. - On miał na imię Fryderyk, a ja - Fryderyka.

Dankowi, mojemu jedynemu bratu.



FRYDERYKA TZIPI BAUMAN

(ur. w 1946 r. w Wałbrzychu) do wyjazdu z Polski w 1957 r. mieszkała z rodzicami i starszym bratem Danielem we Wrocławiu. Wojnę rodzina Tziپی przeżyła w Uzbekistanie; część rodziny zginęła w warszawskim getcie, reszta została zgładzona w Treblince. Po wyjeździe z Polski mieszkała w Izraelu i w USA. Dziś jest emerytką, mieszka w Kfar Sabie. Interesuje się historią i językami obcymi, jako wolontariuszka pisuje o Holokauście do miejscowego kwartalnika „Alumon” i spotyka się z uczniami lokalnych szkół, by przybliżyć im historię swoich przodków.

Przeminęło z piaskiem

tekst Rina Bodankin

Pierwszy rok w internacie przeszedł nam pod znakiem zdumienia. Dlaczego w sobotę nie działa komunikacja? Dlaczego w Jom Kipur zamyka się jadalnię, a w Pesach nie sprzedaje w sklepach chleba? I dlaczego nie obchodzi się Sylwestra? Przeważająca część naszego powojennego pokolenia wychowana została w całkowitej niewiedzy o judaizmie.

Być emigrantem - zawód na całe życie!" - pokpiwają z nas rodowici Izraelczycy. „Początek bez końca” - nazywa imigrację do Izraela Hava Alberstein (też zresztą emigrantka z Polski) w swojej piosence „Szarlja” (zniekształcona nazwa przejściowego obozu dla emigrantów - red.). Świat się kręci, ale Izrael kręci się chyba najszybciej i obecnie stoi na progu dalszych, krytycznych zmian. Z państwa, do którego przyjechałam ponad 50 lat temu, pozostały już tylko hamsiny.

Niedostateczny entuzjazm

Przyjechałam tu w maju, pod koniec lat sześćdziesiątych. Słońce prażyło, krajobraz raził w oczy ostrymi kolorami. W dzień mojego wyjazdu do internatu w Jerozolimie niebo pokryło się piaskiem hamsinu i mama zabrała ze sobą płaszcze przeciwdeszczowe, spodziewając się ulewy.

Internat, dziś położony prawie w centrum miasta, wówczas odizolowany był od niego niezabudowanymi, kamienistymi wzgórzami i jakąś kępą sosen dumnie nazywaną laskiem. W oddali majaczyły domki arabskiej wioski Bejt Dżala. W przyszłości na tych wzgórzach, zajętych w 1967 roku, miały powstać nowe dzielnice Jerozolimy. W soboty chodziliśmy do tej wioski piechotą na falafele. Było bezpiecznie - pierwsza intifada miała wybuchnąć dopiero dwadzieścia lat później.

Sam internat nosił nazwę „Wioski Młodzieży Syjonistycznej”, a jego wychowankowie byli imigrantami z wielu krajów. Młodzież z Polski, ta z kategorii „syjoniści do Syjamu”, wykazywała tu niedostateczny entuzjazm do syjonizmu i wyjątkowy brak wiedzy. Już pierwszego dnia zmieniono nam imiona. Zosia została



fot. archiwum autorki



przemianowana na Cofiję; Halinę, z jakiś niewiadomych powodów, zamieniono w kwiatek - Kalanit, a Ala została wesołą Alizą. Od razu weszliśmy w tryby intensywnego dokształcania: historia Izraela i wojny wyzwoleniczej, izraelskie tańce i piosenki. Krakowiaka zamieniliśmy na horę, „Wandę-co-nie chciała-Niemca” na bohatera - Trumpeldora.

W duchu świeckim i socjalistycznym

Tuż po wojnie sześciodniowej Izrael zalala fala patriotyzmu. Z radia płynęły wojskowe piosenki. W ramach służby wojskowej mieliśmy przenieść się do kibucu na Wzgórzach Golan. „Dlatego świadectwo maturalne nie jest konieczne” - tłumaczył czystą polszczyzną dyrektor internatu mojej przerażonej mamie. Można było się nauczyć jakiś przydatnych zawodów, jak zegarmistrz lub ogrodnik, a najlepiej od razu pracy na roli. Nie, w końcu nikt z nas nie poszedł do kibucu, który zresztą i tak powoli tracił swój ideologiczny status. Po dojściu partii Likud do władzy i po wielu ekonomicznych kryzysach przystosował swoją strukturę do pracującego zewsząd kapitalizmu, ale nie uwolnił się od nieustającej krytyki za grzechy teraźniejszości i przeszłości. Ziemia uprawiana przez kibuce okazała się „zrabowana od obywateli”, a ich innowacja - wspólne sypianie dzieci poza domem - dała się poznać jako traumatyczne przeżycie dla najmłodszych.

Pierwszy rok w internacie przeszedł nam pod znakiem zdumienia. Dlaczego w sobotę nie działa komunikacja? Dlaczego w Jom Kipur zamyka się jadalnię? Dlaczego w Pesach nie sprzedaje się w sklepach chleba? I dlaczego nie obchodzi się Sylwestra? Przeważająca część naszego powojennego pokolenia wychowana została w całkowitej niewiedzy o judaizmie. W Izraelu budziliśmy trochę zdumienia, ale ogólnie nasza ignorancja traktowana była pobłażliwie. Przecież państwo było socjalistyczne, a ta mała grupka ortodoksów, odpowiedzialnych za religijne status quo, miała niedługo zaaklimatyzować się w świeckim Izraelu. Partia Pracy była u władzy od powstania państwa i tak miało trwać wiecznie. Jedyną partią religijną w rządzie była syjonistyczna Mafdal. Oczywiście było, że nowe pokolenie zostanie wychowane w duchu świeckim i socjalistycznym, bez nadmiernego wpływu religii.

Obalanie mitów

Późniejszy rząd Begina przyniósł ze sobą idealizację żydowskiego życia w diasporze i sentyment do religijnych tradycji, wbrew syjonistycznej idei wymazywania przeszłości. Dzieci z pierwszego pokolenia umiarkowanie tradycyjnych rodzin, wychowane w religijnych szkołach masowo otwieranych przez organizację

„Sefardyjczycy Przestrzegający Przepisów Starego Testamentu” (Szas), przyjmowały ortodoksyjny tryb życia. Nadeszły czasy obalania mitów, postsyjonizmu porównującego syjonizm do kolonializmu terytorialnego i kulturowego, a także narastania narodowego nacjonalizmu. Wielokulturowość nie zezwoliła na narzucanie jednej centralnej idei, więc Izrael rozpadł się na wiele grup kulturowych, których wspólnym mianownikiem pozostał język hebrajski, żelazną ręką narzucony przez Ben Guriona jeszcze w czasach wielkich idei.

Nasz hebrajski powoli się poprawiał. Mówiliśmy z lepszym lub gorszym akcentem, ale on nie był wtedy ważny. Większość Izraelczyków mówiła z akcentem, łącznie z członkami rządu i posłami parlamentu. Dowcip z tych lat głosił, że gdyby nie paru gojów pochodzących z innych krajów, można by w Knesecie mówić po polsku.

Problematyczny akcent

Sytuacja zmieniła się powoli i niepostrzeżenie. Większością stało się pierwsze, a później również drugie pokolenie urodzone w Izraelu, dla którego hebrajski był już językiem ojczystym. Dopiero masowa emigracja z dawnego Związku Radzieckiego w latach 90. zmieniła mnie znów w świeżą imigrantkę. Mój akcent zdradzał rzekomo, skąd pochodzę - z Rosji oczywiście. „Dopiero przyjechała, a już jej się zdaje, że wszystko wie”, albo „wracaj do Rosji, jak ci się nie podoba” - słyszałam raz po raz. Okazało się nawet, że moje imię zmienione w internacie, naiwnie wybrane dla mnie do życia w utopijnym kraju bez różnic pochodzenia, jest nieadekwatne do tego akcentu. „Marina, Irina” - poprawiano mnie notorycznie.

Z biegiem lat hebrajski, mimo akcentu, stał się dla mnie językiem codziennego użytku w pracy, w domu, w towarzystwie i podczas korzystania z mediów. Oczywiście w pierwszym okresie po imigracji najlepiej czułam się w polskojęzycznym towarzystwie. Brakowało nam polskich książek. Hebrajski, z jego odrębnym alfabetem bez samogłosek i zwięzłą budową nie nadawał się do czytania dla przyjemności - co do tego nie mieliśmy wątpliwości. Tylko po polsku dowcipy naprawdę nas śmieszyły. Pokpiwaliśmy, z lekkim przerażeniem, z błędów językowych wcześniejszych emigracji. Czy po dekadzie pobytu poza Polską też będziemy tak kaleczyć język? Niemożliwe.

Snobizm na dobrą polszczyznę

A jednak, po latach braku kontaktu z Polską, w czasach przed erą Internetu, w naszych rozmowach zaczęły pojawiać się błędy. Były one szeroko dyskutowane i natychmiast korygowane przez innych rozmówców. Szczególnie uciekały nam odmiany. „Opiekuni

czy opiekunowie?”- zastanawialiśmy się. „Opiekuni” - decydował w końcu jakiś samozwańczy specjalista i musieliśmy uwierzyć mu na słowo, bo przecież nie można było tego sprawdzić w telefonie. Natomiast poprawność pojedynczych hebrajskich słów, wtrącanych od czasu do czasu, nie zasługiwała na uwagę, chyba, że w celu tępienia makaronizmów. Książki z Polski, cudem przedostające się zza żelaznej kurtyny, przechodziły z rąk do rąk, a sytuacja w Polsce była jednym z głównych tematów rozmów.

Kiedy skończył się nasz snobizm na dobrą polszczyznę? Może po otwarciu stosunków z Polską, kiedy okazało się, że używamy anachronizmów? „Oj, jak dawno nie słyszałem tego słowa” - dziwili się nasi polscy rozmówcy. A może po prostu z upływem lat, gdy podczas towarzyskich spotkaniach polskiej emigracji błędy językowe przestały być już tak mocno korygowane, hebrajskie słowa zaczęliśmy wtrącać bez oporów, a spojrzenia pełne politowania zaczęto rzucać na robiących błędy w hebrajskim. Chyba wszyscy jeszcze czytamy po polsku - niektórzy tylko i wyłącznie w tym języku - ale napisanie czegoś w nowoczesnym stylu, jeszcze przy użyciu modnych zapożyczeń z angielskiego, jest już ponad nasze siły. W Polsce w korporacjach menadżerowie spotykają się w realu na eventach, na których obowiązuje dress code. My, polscy Żydzi mieszkający w Izraelu, bez słownika nie umiemy się już w tym połączyć.

W końcu więc zostaliśmy Izraelczykami. Ale Izrael, w którym żyjemy, bardzo się zmienił. Tęsknię do tego Izraela, w którym tak trudno mi się było zaaklimatyzować; wpajającego zlepkowi imigrantów z całego świata nowo utworzony język, kulturę i mity; wierzącego w równość i demokrację, i pewnego, że jest najbardziej sprawiedliwym krajem na świecie.



RINA BODANKIN

urodzona i wychowana w Łodzi. Jako nastolatka wyjechała z rodzicami do Izraela. Absolwentka biochemii i zdrowia publicznego na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie. Wieloletnia badaczka chorób nowotworowych w szpitalu Hadassa w Jerozolimie oraz kierowniczka funduszu na rzecz badań chorób zawodowych. Podczas warsztatów translatorskich zorganizowanych przez Instytut Polski wyróżniona za najlepszą pracę końcową. W tej chwili pracuje nad hebrajskim przekładem książki Mikołaja Łozińskiego „Stramer”.

Ihije beseder

tekst Esther Fuerster-Ashkenazi

Lądujemy w wymarzonej Izraelu i dopiero po chwili uświadamiamy sobie coś, o czym nikt nam wcześniej nie mówił. Alija, oprócz tego, że jest powrotem do kraju przodków, jest także emigracją – i oznacza trudy podobnie jak każda inna emigracja na świecie.

Podczas pierwszego przyjazdu do Izraela – czy to podczas Taglitu, czy rządowego programu Masa – pobyt w Izraelu zachwyca, pogoda rozpieszcza, jedzenie nasycza, gwar ulic ogłusza, ale i napełnia radością. Izrael, Ziemia Obiecana, dom dla każdego halachicznego Żyda czy osoby pochodzenia żydowskiego, staje się w pewnym momencie naszym miejscem docelowym. Możemy zamieszkać tutaj na stałe dzięki aliji.

W tym samym czasie niemal każda osoba, którą spotkamy na ulicy, zapewni nas, że pomysł ten jest świetny, odważny i niemalże pionierski, bo w końcu co nam pozostało w krajach diaspory? Izrael istnieje jako jednostka polityczno-społeczno-ekonomiczno-religijna i żaden Żyd nie musi już szukać domu gdziekolwiek indziej niż tutaj, w kraju naszych przodków.

W końcu decydujemy się na ten krok. Skończyliśmy studia, złożyliśmy wypowiedzenie w pracy, pożegnaliśmy się z przyjaciółmi, sprzedaliśmy cały nasz dobytek, mieliśmy na tyle rozsądku – daj B-że! – żeby nauczyć się hebrajskiego przynajmniej na średnio zaawansowanym poziomie, żegnamy się z krajem, w którym się urodziliśmy, i wsiadamy do samolotu. To może być samolot linii El-Al z już zatwierdzoną aliją, albo jakkolwiek inny, z intencją dopełnienia formalności na miejscu w Izraelu.

Pierwsze dni to euforia i ulga: udało się! Przeżyliśmy podróż przez morze biurokracji. Staliśmy się częścią Izraela. Wracamy do tych samych ludzi, których poznaliśmy podczas Taglitu czy Masy, i dzielimy się z nimi naszą radością. Odpowiadają z najszczerzym zdziwieniem w oczach: dlaczego? Żle ci było za granicą? Czy wiesz, jakie się tutaj płaci podatki? Wiąże koniec z końcem? Żyje z dala od rodziny, która aliji nie zrobiła? Przecież tu człowiek zostaje sam. Zaczyna od zera!

W tym momencie uświadamiamy sobie ważną rzecz, o której nikt nam wcześniej nie mówił. Alija, pomimo tego, że wracamy do domu, jest emigracją – i oznacza trudy podobnie jak każda inna emigracja. Izrael jest niesamowitym krajem: pięknym, zachwycającym, ciepłym, ale także bardzo twardym. Szybko trzeba nauczyć się, że gruba skóra to podstawa. W końcu rozumiemy pojęcie „sabra” (hebr. opuncja), którego używa się go w stosunku do rdzennych Izraelczyków, i dociera do nas, że bez przywdziania takiej samej kolczastej powłoki – przy zachowaniu miękkiego, słodkiego wnętrza – po prostu tutaj nie przetrwamy.

Otrząsnąwszy się z pierwszego szoku, przyjmujemy to podejście za nasz punkt wyjścia. Nawiązujemy kontakty z ludźmi, którzy powoli przestają postrzegać nas jako niemoty; nasz hebrajski powoli staje się płynny, co z kolei przekłada się na lepsze oferty pracy. Doświadczenie zagraniczne i biegła znajomość

innych języków tylko te możliwości podbijają. Gdy sytuacja finansowa się stabilizuje, okazuje się, że i podatki nie takie straszne jak je malują. Uczymy się zarządzać finansami według izraelskiej rzeczywistości i coraz głębiej się w nią zanurzamy. Staramy się zapomnieć o zewnętrznym świecie do momentu, w którym orientujemy się, że czujemy się tu już jak ryba w wodzie, a porównywanie światów i pytanie o to, czy nie lepiej było w kraju urodzenia, przestaje nam być potrzebne.

Praktyczna strona aliji jest bardzo odmienna od tego, co widzimy podczas przyjazdów turystycznych. Wtedy wszystko jest piękne: zwiedzamy kraj, cieszymy się słońcem, wszyscy są dla nas mili, chłonimy odmienną od tego, do czego przywykliśmy.

Jako pełnoprawni obywatele Izraela zaczynamy normalne życie. Czasami nam dobrze. Czasami smutno. Czasem śmiejemy się dziko z przyjaciółmi, innym razem płacemy samotnie siedząc na przystanku autobusowym. W Izraelu niemal każdy zna to uczucie. Samotność kończy się w chwili, gdy ktoś, kto czeka na ten sam autobus, dotyka naszego ramienia i pyta: „wszystko w porządku? Potrzebujesz pomocy? Ej, wszystko będzie dobrze. *Hakol ihije beseder.*”



ESTHER FUERSTER-ASHKENAZI

(ur. 1986 r.) założycielka firmy specjalizującej się w genealogii dochodzeniowej, zaangażowana w projekty w Izraelu, USA i Polsce. Członkini zarządu Towarzystwa Przyjaźni Izraelsko – Polskiej. Autorka książki „Izrael bez cenzury”. Kierowniczka ds. pozyskiwania funduszy oraz prezeska Stowarzyszenia Kalejdoskop.

Zostawić ślad

Krzysztof Mich

zostawić ślad

jakikolwiek ślad swojego istnienia
 świadomy lub mimowolny dowód
 przejścia ze stanu chwilowej aktywności
 do kompletnego bezruchu i rozkładu
 jeśli nie imię wykute w kamieniu to chociaż
 podać nazwisko w zamian za numer
 wypełnić cudzą ręką rubrykę w metryce
 lub innym oficjalnym dokumencie
 ukradkiem po ciemku węglem lub wapnem
 napisać list do kogoś jeszcze bliskiego
 lub choćby kilka słów na odwrocie zdjęcia
 jak przesłanie do następnych pokoleń
 jeśli w ogóle jeszcze nadejdą
 posadzić drzewo by zapuściło korzenie
 i ciągnęło soki aż do czerwonych liści

jakikolwiek zostawić ślad
 choćby zdartych paznokci
 na czarnej od sadzy ścianie

nie dla siebie przecież

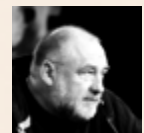
להשאיר עקבות

להשאיר עקבות כלשהם של קיומך
 הוכחה מודעת או בלתי רצונית של מעבר
 ממצב של פעילות רגעית
 לחוסר תנועה וריקבון גמורים
 אם לא שם חרות באבן אז לפחות
 למסור שם משפחה בתמורה למספר
 למלא בידו של זר עמודה בתעודת לידה
 או במסמך רשמי אחר
 בהתגנבות בחושך בפחם או בסיד
 לרשום מכתב למישהו קרוב עדיין
 או לכל הפחות כמה מילים בגב התצלום
 כמו מסר לדורות הבאים
 אם יבואו בכלל
 לשתול עץ שישתרש
 וימשוך מיצים עד העלווה האדומה

להשאיר עקבות כלשהם

ולו של ציפורניים קרועות
 על קיר שחור מפיח

לא עבור עצמך אחרי הכול



KRZYSZTOF MICH

(ur. w 1959 r.) – polski poeta, dziennikarz, fotografik, autor projektów multimedialnych łączących poezję, fotografię i muzykę. Za projekt „44 odbicia Warszawy” był w 2018 r. nominowany – wraz z Pawłem Łęczukiem – do nagrody Lubuski Wawrzyn Literacki. Dziennikarsko współpracował m.in. z Expressem Wieczornym, Super Expressem i TVP. Powyższy wiersz pochodzi z tomiku „Śladami”, który został przetłumaczony na języki hebrajski (tłumaczka: Orit Zehavi Bergman) i ukraiński (Iryna Mularczuk).

Horyzont

tekst Tytus Kamil Rolski



Urodziłem się w Kutnie, mieście magicznym, w którym od wieków spotykały się narody. Spotykali się też ludzie. Hrabia Piotr, a może raczej Petr, który uciekł z bratem biskupa Wojciecha do Polski zamienił swoją Kutną Horę na Kutno. Źródło, ku któremu jego rumak skłonił swe chrapy stało się zwieńczeniem jego wędrówki. Giermkowie rozkulbaczyli mu konia, a on zrozumiał, że jego ucieczka dobiegła kresu.

Wielowiekowe spotkania narodów właśnie w tym niezwykłym miejscu, przez splot różnobarwnych nitek tkają dość gęstym ściegiem niepowtarzalny arras z panoramą miasta. Często tworzą się na nim zawile kołtuny, prawdziwe węzły gordyjskie o fantastycznych kształtach. W kłębowisku tym ludzie już nie są tak pewni, które z nitek należą do ich dziedzictwa: czy te frędzle to fragmenty tałesu, czy może sarmackiego kontusza; a może to len ze zwykłej chłopskiej koszuliny? Przepęniające uliczki zapachy to albo smakowity czulent, albo już ciulim, na wspomnienie którego wielu moim kolegom z chederu ciekła ślinka, choć jeść tego nie mogli, bo *tre-fne*. Zakazany owoc.

Może jest tak, że jedynie tutaj nuta skoczna, słowiańska odnajduje się wśród smętnej, jęczącej z nostalgii za kamienistą Judeą i właśnie w Kutnie taki przeplataniec staje się możliwy? Tego nie jestem pewien, ale wiem, że wszystkim mieszkańcom i gościom moje miasto dawało cień w skwarny dzień, podawało kubek studziennej wody, może i z utraconym uszkiem, ale kto by na to patrzył w tak upalnych okolicznościach. Gdy dni się skracały, miasto ścieśniało swą zabudowę, domy wydawały się bardziej przysadziste, jakby napuszały się w oczekiwaniu chłodu, zupełnie jak kaczkki nad Ochnią, które łapczywymi wymachami pod pióra wtłaczały powietrze, by zapewnić sobie ciepło w słotne i mroźne dni.

Moje Kutno nie ograniczało się do ulicy Senatorskiej, zawsze ciągnęło mnie gdzieś dalej, poza mury chederu, dość szybko straciłem z oczu barokowy zarys frontonu synagogi podpierany przez cztery obłe kolumny. Przepęniał mnie głód, chciałem czegoś więcej, chciałem poznać horyzont poza miastem naiwnie sądząc, że niebo piękniej błękitnieje u innych, w egzotycznych dla mnie krainach. Nie mając pieniędzy na podróż nauczyłem się czytać w językach narodów, które podziwiałem. Marzyłem, by kiedyś na własne oczy zobaczyć ich niebo. Książki były moim najwierniejszym przyjacielem. Okazało się jednak, że nie zostanę rabinem jak chciał mój

tate, bo zaczytywałem się w niewłaściwych lekturach. Schiller, Lessing i Goethe w towarzystwie Prusa i Tołstoja kupili mi bilet w jedną stronę: już nie było powrotu do zacisznej salki, w której z nosem w Księdze studiowałem święte znaki Pisma.

Znaki innych języków kusily mnie z tak przemożną siłą, że ani się spostrzegłem jak sam zacząłem uczyć innych, pomagać im przedzierać się przez gąszcz tych odmiennych alfabetów, wylawiać znaczenia, konteksty i niuanse, zupełnie jak ogary niuchające tropy śledzonej zwierzyny na łowach.

Moja długa droga pokazała mi wiele wspaniałych i równie przejmujących miejsc. Ze zdziwieniem jednak za każdym razem zauważałem, że horyzont wszędzie był taki sam jak w moim rodzinnym Kutnie, tak samo otulał pole widzenia; w zależności od stanu mego ducha to otwierał mnie na świat, to w nim więził, jak skazańca, któremu brak w płucach powietrza, jak wyciągniętą z wody rybę łapiącą beznadziejnie haust za haustem.

Mojej żonie, Matyldzie, moim synom i córce trudno było pojąć ten mój nieustanny głód nowych miejsc, ten mityczny niemal rys, niespokojny duch budzący się we mnie raz po raz, czy to w Berlinie, Petersburgu, Paryżu czy Palestynie. Gnała mnie nawet za ocean kolejna odsłona życia, której znajdowałem nazwy i składałem z nich rozdziały kolejnych książek. Sam nie wiem kiedy zaczęła się ta gra.

Czytając książkę za książką znalazłem w sobie odwagę, wręcz nieodpartą pokusę, by dopowiedzieć świat po swojemu. Pisząc co dnia, niemal bez reszty pochłoneń mnie słowa bijące ze mnie zupełnie jak woda ze źródła, które odnalazł hrabia Piotr z Kutnej Hory. Może wody tego źródła spływały ku Ochni, a może było ono zupełnie gdzieś indziej?

Nowe frazy, wypełniające moje myśli przenosiłem z upodobaniem na papier. Czasami nachodziła mnie ochota i pisałem od lewej do prawej, delektowałem się odmiennym chrobotem miękkiego ołówka. Ten o twardości 3B był moim ulubionym łącznikiem myśli z kartką papieru, z tym miejscem narodzin i zarazem wiecznego spoczynku dla zdań, akapitów, rozdziałów – tuż przed ich wyruszeniem w świat. Zupełnie jak ja z mojego Kutna, jak każdy młody człowiek marzący o innym życiu wśród odległych, niecodziennych krajobrazów.

Nawet dzisiaj w pobliżu zadbanych ręką osadników piaszczystych wydm Bat Jam wpatruję się w słonawy horyzont rozciągający swe ramiona nad równiną Szaron i po przymknięciu powiek zdaję sobie sprawę, tak, pamiętam wyraźnie, że horyzont w Kutnie tak samo mnie kusił, witał co dnia tym samym bezustannie zachęcającym do wędrówki rozplataniem. Teraz jednak doszło nieoczekiwane poczucie, że nie zdołałem nauczyć się języka ptaków. A znalazłem ich w Kutnie mnóstwo: pliszkę, drozda, wilgę, ziębę czy sójkę. Tutaj spotyka się pokrzewki i mysikróliki, które śpiewają z tak tęsknym zacięciem, że ciężko mi przychodzi zasypianie: każdy trel przypomina delikatne trącanie źdźbła o źdźbło, w upalnym klimacie, nawet po zmroku długo zapada w pamięć, zawieszają się, zastygają wraz z myślami w tym gęstym powietrzu.

I już tak niewiele pozostaje. Zmieści się to pewnie w dłoni małego chłopca, którym wciąż chcę być. Tam, nad Ochnią podczas dziecięcych wypraw do tajemnych miejsc naszej łąki, do pagórków porośniętych leszczyną, olchą i bluszczem (cóż za dziwaczne zestawienie) podąża jak cień mój tłumiony przez lata szept. Ten conocny, bardziej przypominający szloch, ten sprzed zapadnięcia się w sen kamienny, okaleczony przez świat. Nie ma już mojego Kutna. Nie ma na ulicy Senatorskiej dziewięciopolewego sklepienia. Nie ma stojącej w środku bimby. Pozostało kilka macew na Kirchołu, jak wyrzut sumienia, który u ludzi pozostaje tylko przez kilka chwil. Lecz są to chwile, które swą innością dają drugi oddech, przypominają o tym brakującym płucu i – paradoksalnie – jest to oddech głębszy, jaśniejszy. Niektórzy potrafią zza tego oddechu wyłonić świat. Nawet ten najmniejszy, ten kolosalnie maciupęki, pudełko zapalek, któremu winniśmy bić pokłony, bo jeszcze chce dawać nam schronienie, używać sklepienia naszym rozedrganym myślom. Tak, ten mały świat zamykający się w znaku przebaczenia jeszcze chce mnie nawiedzać, jeszcze daje mi szansę. Może nawet ostatnią. Tego nie wiem. Znam tyle słów, ale tego akurat nie wiem.

Chwała Przedwiecznemu za to, czego mi poskąpił, bowiem zaspokojenie znalazłoby mnie u drzwi kirkutu, a tak wciąż dobijam się do kolejnej historii światła, nawet jeśli brak mi ogłady – zresztą, nigdy się z tym nie liczyłem i zazwyczaj wyrazistym słowem odnajduję sumę zdarzeń, bo tylko to liczy się dla mnie naprawdę. Świat czerpał ze mnie całymi garściami, teraz ja próbuję jeszcze zaważać o swoją część, choćby to miały być okruchy. Boję się jednak, że pisany mi jest raczej ochłap, strzęp, drobina odłamana z okaleczonej macewy na Kirchołu. Moi bracia w słowie, bracia bliźniacy serca to z pewnością powinowaci brzasku, który tak bardzo przypominają mi nieprzespane z przejęcia noce nad książkami i to wymykanie się ukradkiem na łąki nad Ochnią.

Wtedy, ponad sześćdziesiąt lat temu różowiejące niebo potrafiło odurzyć swym rysunkiem wrażliwego wyrostka. Bajeczny horyzont obiecywał niezliczone odsłony w coraz to innych miejscach. Istotnie, były to tworzące chwile – nigdy nie rozstawałem się ze Słowem, zawsze w dłoni gościł ołówek, druga przytrzymywała kartkę. Co dziwne, uległa bezradność wobec pokusy opisywania świata dała mi siły do przechodzenia z dnia w dzień, nawet pod prąd, nawet wtedy, gdy mówiono mi bym odpuścił. Pewnie zbyt często rozmawiałem z cieniem przygotowując bliskich o troskę i pęki siwych włosów, ale dać sobie spokój z pisarstwem nie byłem w stanie.

Spaceruję czasami nad morze, w oddali majączy Jafa, słucham nieśmiało zaczynającej się melodii, która dobiega z pobliskiej knajpki słynącej z pysznego humusu. Nie mogę uwierzyć, ale to dźwięki oberka z dziwnymi klezmerskimi cytatami, tu synkopa, tam niespodziewanie kolejna i czuję zapach czulentu, nie żaden humus, Boże mój, dom, horyzont nad Kutnem, dom.

Dom.

Inspirowane życiem Szaloma Asza.



fol. Nida Qatamish



TYTUS KAMIL ROLSKI

(ur. w 1970 r. w Gdańsku) – nauczyciel języka angielskiego w katowickim technikum, autor wierszy i drobnych utworów prozatorskich. Pochodzi z rodziny wielokulturowej: ze strony ojca miał żydowskiego dziadka z Odessy i babcie Kaszubkę spod Gdańska, ze strony matki – babcie spod Grodna i dziadka z Kaszuba. Władza wieloma językami; pisze po polsku, kaszubsku, śląsku, czesku, rosyjsku i niemiecku.

Komu bije carillon

tekst Anna Kasprzycka



źródło: Cliff Smith YMCA Postcard Collection / Springfield College Archives and Special Collections



Carillon – instrument muzyczny złożony z minimum 23 dzwonów, na których gra się z użyciem specjalnej klawiatury. Na świecie istnieje ok. 650 carillonów. Ten na wieży YMCA w Jerozolimie jest jedynym na Bliskim Wschodzie i właśnie obchodzi swoje 90-lecie.

35-dzwonowy carillon w YMCA w Jerozolimie wybrzmiał po raz pierwszy 16 kwietnia 1933 roku. Zagrała na nim Brytyjka, carillonistka Nora Johnston, a instrument, odlany w brytyjskiej ludwisarni Gillett & Johnston, ufundowany został przez Amerykankę Amelię Jarvie. Jerozolimski carillon był – i po 90 latach nadal pozostaje – jedynym na Bliskim Wschodzie.

84 lata później, 26 listopada 2017 roku, spotkała mnie wyjątkowa przygoda: miałam okazję na nim zagrać. Na carillonie gram od 2004 roku. Im dłużej myślę o tym, co właściwie pchnęło mnie do wyboru tak niestandardowej ścieżki muzycznej, tym częściej dochodzę do wniosku, że to idealne połączenie moich dwóch pasji: muzyki i podróży. Zwykle jedna z nich staje się siłą napędową do realizacji drugiej – bo carillon – z racji usytuowania na wieży – to instrument, do którego najczęściej – choć nie zawsze – się jeździ.

Dzięki koncertom carillonowym odbyłam wiele wspaniałych podróży do miejsc, których inaczej prawdopodobnie nigdy bym nie odwiedziła.

W przypadku Jerozolimy było odwrotnie: zaplanowana przeze mnie wycieczka w celach czysto turystycznych stała się okazją do odwiedzenia carillonu. Wiedziałam o planowanym tradycyjnym koncercie otwierającym sezon bożonarodzeniowy. Zbieg okoliczności i niedyspozycja lokalnego carillonisty Gaby Sheflera (emerytowanego profesora Hebrew University oraz psychoteraputy w Herzog Medical Center) sprawiły, że poproszono mnie o zastępstwo. Odrobinę zaskoczyła mnie tematyka zamówionego koncertu, bo w Europie sezon bożonarodzeniowy rozpoczyna się kilka tygodni później. Zagrałam jednak – i było to doświadczenie, którego nigdy w życiu nie zapomnę.

Wydarzenie okazało się dużym sukcesem frekwencyjnym. Przy dźwiękach wykonywanej przeze mnie muzyki bożonarodzeniowej z różnych zakątków świata zapalono światelka na choince przed YMCA, a muzyka słyszalna była w mieście w promieniu czterech kilometrów od wieży, w której umieszczono instrument. Różnorodność narodowości ludzi zgromadzonych na tym wydarzeniu było dla mnie nowym i bardzo pięknym doświadczeniem. Jako ostatnia grałam też na instrumencie, który niecały rok później, w 2018 roku, przeszedł renowację.

Z perspektywy czasu widzę, że było to unikatowe wydarzenie z wielu względów. Z powodu oddalenia od głównych ośrodków carillonowych niewielu twórców tej muzyki dociera do Jerozolimy. Być może to również przyczynia się do faktu, że jerozolimska scena carillonowa nie jest zbyt aktywna i ogranicza się właściwie do dwóch koncertów w roku. Dlatego koncert carillonowy w Jerozolimie jest zawsze wydarzeniem unikalnym.

Na świecie kultura carillonowa przeżywa obecnie renesans: szkoły dla muzyków odnotowują dużą ilość studentów, budowane są nowe instrumenty, zamawiane nowe utwory. Powstają także ciekawe projekty związane z tym rodzajem muzyki.

Byłoby wspaniale, gdyby fala światowego renesansu carillonu dotarła także do Jerozolimy. Lokalną scenę mogłoby ożywić m.in. włączenie koncertu z udziałem instrumentu do programów festiwalu lub innych wydarzeń kulturalnych. Nie mam wątpliwości, że byłoby to wydarzenie ważne zarówno dla Jerozolimy, jak i całego carillonowego świata.



ANNA KASPRZYCKA

(ur. w 1978 r.) – polska carillonistka i realizatorka dźwięku.

Pracuje jako carillonistka w Parrochialkirche w Berlinie.

Współpracuje też z Bazyliką w Echternach (Luksemburg)

i Miastem Gdańsk. W 2014 roku jako pierwsza polska carillonistka

ukończyła z wyróżnieniem Królewską Szkołę Carillonową

„Jef Denyn” w Mechelen w Belgii. Koncertowała w wielu

krajach Europy, w Stanach Zjednoczonych oraz w Izraelu.

Podwójne życie pewnego miasteczka

Sztetl Koluszki

Zbigniew Komorowski

Książy Młyn Dom Wydawniczy, 2022

Miasteczko z obszernym życiorysem, którego fragmenty uległy zapomnieniu – takich historii jest w Polsce wiele. Owe fragmenty nie istnieją w zbiorowej pamięci najczęściej z powodu braku wiedzy, dodatkowo zatartej przez czasy PRL-u. A jednak historia nie znosi próżni. Dziś te puste obszary wiedzy wypełniają historycy, pisarze, reporterzy, poszukiwacze świadectw i rodzinnych korzeni – słowem, dopełniacze kontekstu.

Tak stało się też w przypadku Koluszek, miasteczka położonego nieopodal Łodzi. Pamięć o jego żydowskich mieszkańcach przywrócił i opisał Zbigniew Komorowski. Książka pt. „Sztetl Koluszki” jest owocem jego obszer-nych studiów nad historią przedwojennego

życia żydowskiej społeczności stanowiącej przed 1939 r. – w zależności od źródeł – do 30 procent mieszkańców. Komorowski, lokalny dziennikarz, stworzył dokładny, dokumentalny zapis życia i martyrologii tamtejszych Żydów. W książce ujęto bogaty zbiór listów, wspomnienia ofiar Zagłady i świadectwa potomków Ocalałych z Holocaustu. „Każda z historii opisanych w tej książce wydarzyła się naprawdę. Czytelniku, za każdym razem, gdy będziesz od- czytywał podane tu imiona i nazwiska zmarłych i zamordowanych, wydobędziesz ich z niebytu, przywrócisz ich życiu” – pisze we wstępie Autor. Ważne miejsce w publikacji zajmują też relacje Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, którzy ratowali swych żydowskich sąsiadów. Książkę uzupełniają indeksy nazwisk kolusz- kowskich Żydów, listy uczniów żydowskich szkół oraz rejestru miejscowych ofiar zamor- dowanych w obozie w Treblince. Wartością dodaną publikacji jest przywrócenie głosu

zmarłym, ale też ich potomkom. Dzięki wieloletnim badaniom koluszkowskich Żydów Komorowski, wraz z przyjaciółmi z lokal- nego stowarzyszenia pasjonatów historii dotarli, do czterech

Izraelczyków, których przodkowie zamieszki- wali przed wojną w Koluszkach. Udostępnione Autorowi listy i pocztówki wymieniane między krewnymi w Koluszkach z bliskimi, którzy wy- emigrowali do ówczesnej Palestyny, są nieoce- nionym źródłem wiedzy na temat nastrojów społecznych tamtych czasów, marzeń o pań- stwie żydowskim, ale też o rozterkach życia w Polsce i w Palestynie. Tym samym „Sztetl Koluszki” wychodzi poza ramy klasycznego ka- lendarium unicestwionej społeczności, ukazu- jąc zwycięstwo życia nad śmiercią.



Z wyższej półki

Przewodnik po mniej znanych lekturach w zbiorze tematyki żydowskiej Biblioteki Instytutu Polskiego w Tel Awiwie. Agata Krizevski zagląda na najrzadziej odwiedzane półki i przypomina tytuły, które warto odkryć na nowo.

Tym razem przybliży dwie różne książki noszące ten sam tytuł – „Powroty”. Maria Thau (Weczer) i Aleksander Klugman to ich autorzy polsko-izraelscy lub izraelsko-polscy – w zależności od perspektywy. Właśnie o tej różnorodności perspektyw mowa w obu książkach.

Powroty

Maria Thau (Weczer)

Wyd. Towarzystwa Słowaków w Polsce, 2002

„Wrócić po tak długim okresie to trochę jak wrócić z innej planety lub narodzić się na nowo” – pisze Maria Thau (Weczer). Autobiograficzna opowieść o jej polskim życiu stanowi zbiór wspomnień z czasów dzieciństwa, wojny, życia w otwockim get- cie, powojennej Polski, a następnie emigracji do Izraela w 1958 roku.

Powroty do Polski urodzonej w 1932 roku Marii Thau są wielowymiarowe: fizyczne, sentymentalne, literackie. Te namacalne, prawdziwe rozpoczęły się w latach 80. Autorka dzieli się z czytelnikiem swoim do- robkiem poetyckim oraz krótkimi formami literackimi, których osiłą jest Polska. Ze wzru- szającą szczerością Thau opowiada o – jak pisze – „dwóch najlepszych latach” jej życia w okresie 1946 -1948, które spędziła w Domu Dziecka w Zatrzebiu. Opowiada o złożonej relacji jej rodziców, a także dzieli się emocja- mi związanymi z utratą syna podczas służby wojskowej w 1974 roku. To krótka, acz inten- sywna książka o życiu przez duże „Ż”.



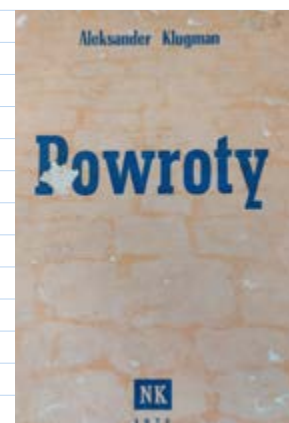
Powroty

Aleksander Klugman

Wyd. Nowiny-Kurier, 1972

Aleksander Klugman to urodzony w Łodzi zasłużony pisarz i publicysta, autor wielu książek i publikacji nie tylko literackich, m.in. słownika polsko-hebrajskiego, dzięki któremu zyskał powszechną sławę wśród miłośników języka hebrajskiego w Polsce. Ocalały z Holocaustu, były więzień obozu Auschwitz, a następnie obozów koncentra- cyjnych w Niemczech. Po zakończeniu woj- ny powrócił do rodzinnej Łodzi, a w latach późniejszych przeniósł się do Warszawy. Przez całe życie zawodowe związany był ze światem prasy i literatury. Zmarł w Izraelu w 2015 roku.

Wydane w 1972 r. w Izraelu „Powroty” są krótką powieścią. Sam Autor we wstępie zaznacza, że jest ona oparta na faktach. Nie nazywa książki autobiografią, choć jej głów- ny bohater nosi imię Olek. Znając jednak życiorys Klugmana na łamach powieści roz- poznać można jego losy. Tytułowe powroty są dwa. Pierwszy odbywa się po wyzwoleniu z obozu w Niemczech. To powrót do Polski,



pelen wzruszeń i obaw, wątpli- wości i jednocześnie radości z początku nowego życia w so- cjalistycznej Polsce. Drugi po- wrót sugeruje ostatni rozdział: to wyjazd do Izraela wymuszony nagłym poczuciem wyobcowa- nia w PRL-u, w którym wierzył, iż podział na Żydów i nie-Żydów został wymazany. To wyjazd z ojczyzny i powrót do ojczyzny. Dualizm będący stałym mia- nownikiem życia Izraelczyków pochodzących z Polski.

Taniec i rewolucja

z Ramallah pisze Barbara Urban-Nino

Od udeptywania gliny przez taniec weselny, aż po wyraz protestu wobec rzeczywistości: palestyńska odmiana *dabki* przeżywa właśnie swój renesans.

fot. Nida Qatamish

Dabka (lub *dabkeh*, *dabke*) to tradycyjny arabski taniec liniowy wykonywany wśród mieszkańców Syrii, Libanu, Jordani i historycznej Palestyny. Tancerze oraz tancerki występują tańcząc w linii, półkole lub kole. Kroki *dabke* wykonywano podczas udeptywania gliny wykorzystywanej przy budowie dachów domów. Z biegiem czasu do kroków dołączyła muzyka i tak właśnie powstał ten taniec.

Rytm, krok, kostium

Dabke w języku arabskim oznacza „przytupywanie”, dlatego też wszystkie kroki charakteryzują się podskokami i przytupywaniem w rytm muzyki. Istnieje ponad 20 rodzajów tego tańca. Każdy z nich posiada własny rytm, kroki i tradycję. Niektóre tańczone są tylko przez mężczyzn (*al szarawiya*). Inne rodzaje są tańczone wyłącznie podczas *Henny*, przyjęcia przedślubnego organizowanego dla przyszłej panny młodej i kobiet z jej rodziny. *Al karradiyeh* i *al tayyara* charakteryzują się szybkimi krokami i są zazwyczaj wykonywane przez młodych ludzi, ponieważ wymagają dużej elastyczności i wytrzymałości. *Al dalouna* ma umiarkowany rytm i jest wykonywana przez tancerzy w każdym wieku. *Zareef el tool* opowiada o miłości do ziemi, jej uprawy i przypomina młodemu pokoleniu o konieczności pozostania na ziemi przodków. Dla Palestyńczyków najbardziej charakterystyczne były *al szamelija* (tańczona przez mężczyzn i kobiety w półkole) i *al szarawiya*.

W muzyce do *dabki* słychać instrumenty orientalne takie jak *ud* (arabska lutnia), *kanun* (rodzaj cytry), *darbuka* (arabski bęben), *riq* (arabski tamburyn) i *mijwiz* (flet).

Dabka słynie także z przepięknych, kolorowych kostiumów, zarówno żeńskich jak i męskich. Podobnie jak z krokami i rytmem, kostiumy także bardzo się różnią w zależności od regionu,

w którym się tańczy. Palestyńskie kostiumy do tradycyjnej *dabki* zawsze posiadają elementy palestyńskiego haftu (wpisanego niedawno na listę Dziedzictwa Światowego UNESCO), bliskowschodniej biżuterii, a na głowach tancerzy wiązane są chusty.

Dawniej *dabkę* tańczono głównie we wspólnotach wiejskich, podczas radosnych uroczystości takich jak wesela, chrzciny czy zbiory plonów.

Z biegiem czasu oraz pod wpływem wielu zmian polityczno-społecznych w rejonie, także *dabka* uległa transformacji.

Protest dance

Od lat 70. palestyńska muzyka jest odzwierciedleniem tutejszej rzeczywistości. Większość utworów skomponowanych w tym czasie nawiązuje do braku wolności Palestyńczyków, ich trudnej sytuacji w obozach dla uchodźców (w wyniku wojen w 1948 i 1967), do tęsknoty za spokojnym życiem oraz do miłości i przywiązania do ziemi przodków. W latach 70. i 80., pod wpływem światowego antykolonializmu, powstają w regionie utwory protestacyjne mówiące o sytuacji Palestyńczyków, o ich walce o prawa człowieka, o ich tożsamości. Libański artysta Ahmad Qabbour tworzy album „Ounadikom” do poezji Tawfiqa Ziada (Palestyńczyka-Izraelczyka, polityka z Nazaretu), a Libańczyk palestyńskiego pochodzenia, Marcel Khalife, nagrywa płytę „Obietnice sztormu” - obie zawierającą piosenki protestacyjne i ballady polityczne cieszące się popularnością na Zachodnim Brzegu. W Jerozolimie Wschodniej powstaje palestyńska grupa Sabreen, tworząca piosenki natury czysto politycznej.

Zmiany w *dabce* idą ręką w rękę z nastrojami muzycznymi. Na przełomie lat 70. i 80.

na terenie Zachodniego Brzegu i Jerozolimy Wschodniej powstają centra kultury i kluby tańca, których celem jest podtrzymanie palestyńskiej kultury i tradycji, w tym poprzez naukę *dabki*. Taniec popularny do tej pory we wspólnotach wiejskich staje się ulubioną formą ruchu mieszkańców. Kroki *dabki* również przechodzą metamorfozę: powstają choreografie do aktualnej muzyki rewolucyjnej. Dla wielu Palestyńczyków żyjących poza Palestyną *dabke* staje się symbolem narodowym, symbolem przetrwania, symbolem tożsamości palestyńskiej, którą tak pieczołowicie starają się utrzymać. Kolorowe kostiumy ustępują chustom *kuffiyeh* i innym symbolom narodowym.

Scena dla najlepszych

Na palestyńskiej scenie tańca *dabka* ewoluowała od prostego tańca składającego się z kilkunastu kroków w złożony spektakl muzyczno-teatralny, z bogatą fabułą często nawiązującą do sytuacji politycznej, piękną choreografią, oprawą świetlną-laserową i muzyką palestyńskich i arabskich kompozytorów. To właśnie *dabka* jest głównym składnikiem tańca nowoczesnego w Palestynie.

Najwybitniejsze zespoły taneczne, których celem jest pokazanie światu tradycji palestyńskiego folkloru, a także obecnej sytuacji społeczno-politycznej Palestyńczyków, to grupa *El-Funoun* z Ramallah i *Diyar Dance Theatre* z Betlejem. Bilety na przedstawienia *El-Funoun* są rozchwytywane w przeciągu 2-3 godzin od otwarcia kas. Przedstawienia za granicą cieszą się takim samym powodzeniem.

Warto zaznaczyć, że tancerze *El-Funoun* są wolontariuszami - za swoją pracę nie otrzymują wynagrodzenia. A jednak konkurencja wśród tancerzy zaineresowanych byciem w grupie jest olbrzymia. Nawet szkoła *Bara'em*, która

przygotowuje przyszłych tancerzy *El-Funoun*, przyjmuje zaledwie kilkoro dzieci rocznie. Wybrańcy *Bara'em* już w młodym wieku (od 10 do 17 lat) muszą wykazać się niezawodną znajomością tańca *dabke* i kondycją godną sportowców.

Forma twórczego protestu

Kolejne zmiany w stylu tańca *dabke* uwidoczniły się w latach dwutysięcznych, które dostarczyły wielu (niestety negatywnych) bodźców politycznych. Formy oporu bez przemocy po stronie palestyńskiej zostały reaktywizowane – coraz częściej na ulice wychodziły pokojowe demonstracje, powstały think-tanki przedstawiające palestyński punkt widzenia.

Stopniowo *dabka* stała się symbolem palestyńskiego oporu. Za granicą, we wspólnotach arabskich i palestyńskich, coraz częściej organizowano uliczne występy *dabki* w celu podkreślenia solidarności z Palestyńczykami. Po ostatniej wojnie w Gazie trzydziestu

tancerzy-aktywistów wykonało taniec *dabke* w sercu Muzeum Brytyjskiego oraz w centralnym londyńskim banku Barclays. Użycie tańca jako kulturalnej formy protestu przyciągnęło uwagę dużej publiczności. Na terytorium palestyńskim młodzież tańczy *dabke* w Strefie Gazy podczas ataków wojsk izraelskich, przy Bramie Damasceńskiej po piątkowej modlitwie, oraz podczas wszystkich oficjalnych uroczystości. Pokolenie młodych muzyków nagrywa klipy video z tradycyjną muzyką przedstawiające tancerzy *dabki*. Dyskoteki i puby w Ramallah, oprócz muzyki zagranicznej, grają także muzykę *dabke* porywając tłumy młodych do tańca. *Dabka* stała się jedną z form *sumud* (niezłomna wytrwałość), pokojowego oporu polegającego na kontynuacji palestyńskości.

Przez ostatnie dekady *dabka* przeszła olbrzymie zmiany – jak zresztą prawie wszystko w tym regionie. Najbardziej pozytywny jest jednak fakt, że nie można przeżyć jakiegokolwiek palestyńskiej imprezy bez doświadczenia, jakim jest *dabka* - jej muzyka i taniec.

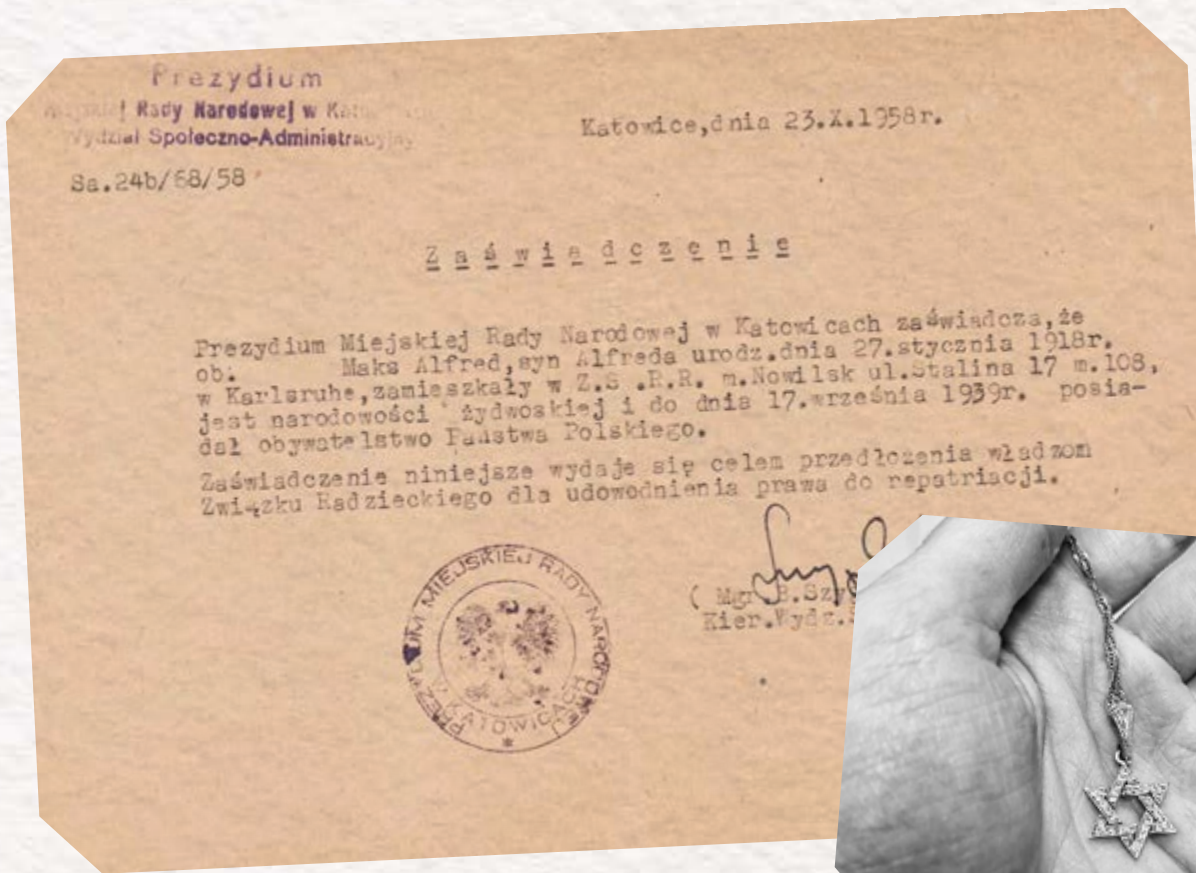


BASIA URBAN-NINO

(ur. w 1976 r.) – przemierza świat wzdłuż i wszerz. Na Bliski Wschód trafiła 18 lat temu, tuż po studiach w USA, zupełnie przez przypadek. Prowadziła projekty edukacyjne w Jordanii i Syrii. W Ramallah wspiera relacje polsko-palestyńskie oraz rozwój palestyńskiej młodzieży i jej dostęp do rynku pracy. W wolnym czasie, z córkami Natalią i Zosią, odkrywa naturę.



Dowód pochodzenia



Na osiemnaste urodziny Aleksandra postanowiła kupić sobie prezent. Marzył jej się złoty wisiorek. Jubiler zaproponował różne opcje, spośród których Aleksandra wybrała kształt sześcioramiennej gwiazdy. Kiedy pokazała naszyjnik swojej matce, ta nagle zbladła. Symbol, który wybrała, był gwiazdą Dawida, a sama Aleksandra, choć jeszcze o tym nie wiedziała, była Żydówką.

Jej mama dowiedziała się o swoim żydowskim pochodzeniu przypadkiem, mając 24 lata. Jej ojciec urodził się w Karlsruhe, zawsze więc sądziła, że jest Niemką. Ta niespodziewana wiadomość zaskoczyła Aleksandrę, choć wtedy jeszcze nie przyłożyła do niej większej wagi.

Minęło kilka lat. Zupełnie przez przypadek Aleksandra znalazła w domu zaświadczenie z 1958 r. wydane w Katowicach w języku polskim. Potwierdzało ono, że jej dziadek był narodowości żydowskiej. Temat pochodzenia wrócił i tym razem sprawy nabrały rozpędu. Młodsza siostra Aleksandry, Swieta, zdecydowała że nie tylko należy dowiedzieć się więcej o dziadku, poszukać dokumentów, ale również poszerzyć swoją wiedzę na temat judaizmu. Od tamtej pory brała aktywny udział

w wydarzeniach organizowanych przez żydowskie instytucje w rodzinnym mieście, studiowała kulturę i historię Żydów i interesowała się współczesnym Izraelem.

Pierwszy wyjazd do Izraela - dziesięciodniowa wycieczka w ramach programu Taglit - wymagała kontroli konsularnej. Aleksandra i Swieta dostały odmowę wyjazdu. Oburzona Aleksandra zadzwoniła do konsulatu z pytaniem, czy aby na pewno przeczytano tam zaświadczenie o pochodzeniu dziadka. Następnego dnia obie siostry otrzymały zgodę na wyjazd. Postanowiły jednak zebrać więcej dowodów po to, by taka sytuacja się nie powtórzyła.

Kilka lat później Swieta wyjechała do Izraela w ramach programu Masa i po jego ukończeniu zrobiła aliję. Będąc już obywatelką tego kraju przyjechała pewnego dnia z wizytą do rodzinnego domu. Podczas sprzątania przypadkiem znalazła pudło pełne dokumentów, między nimi legitymacją wojskową, w której wpisane były babcia i matka siostr.

Udało jej się też przetłumaczyć listy od mieszkającej w USA siostry dziadka. Nie było to jednak łatwe - odręczne pismo sprawiło

tłumaczom problem. W listach siostra opisywała codzienne życie ich krewnych. Wśród słów w języku niemieckim czasem pojawiały się takie sformułowania jak bar micwa czy kidusz, co też stało się, choć nieoficjalnym, potwierdzeniem ich żydowskiego pochodzenia.

Swieta zwróciła się również do przedstawicieli fabryki, w której kiedyś pracował dziadek siostr. W tamtych czasach przyjęte było pisanie autobiografii przez pracowników. Siostry starały się dowiedzieć, czy ich krewny też coś takiego po sobie zostawił. Kopię autobiografii dziadka Aleksandra wyjęła ze skrzynki pocztowej zaledwie 12 godzin przed odlotem na program Masa. Było to ostateczne potwierdzenie pochodzenia ich rodziny. Dowiedziała się z niej m.in., że dziadek przeszedł przez getto we Lwowie i uciekł stamtąd tuż przed jego likwidacją.

Proces poszukiwania swoich korzeni zajął siostrą 9 lat. Zaświadczenie znalezione na samym początku stało się dla Aleksandry i Swiety kluczem do odnalezienia nie tylko swojej tożsamości, ale też miejsca w Izraelu.

Julia Borysenko

Szybko, lekko, pysznie

tekst Karolina van Ede-Tzenvirt

Życie na wysokich obrotach nie pozwala Izraelczykom spokojnie usiąść do stołu w środku dnia. Szybkie jedzenie do ręki, w papierku, do zjedzenia na ławce, bez talerza i sztućców jest tu na porządku dziennym. Ewentualnej plamy z sosu na koszuli i tak nikt nie zauważy.



W biegu, szybko, byle jak, z kapiącą na chodnik tahini, ale za to - jak smacznie! Tak właśnie je Izraelczyk. Kiedy ma czas, wieczorem lub w piątek rano, usiądzie sobie spokojnie w kawiarni przy ustawionym na chodniku stoliku lub w jednej z nowo otwartych restauracji i zamówi soczystego steka albo izraelskie śniadanie. Zje powoli, koniecznie w towarzystwie, a śmiech, rozmowy i domawianie kolejnego drinka będą się ciągnęły w nieskończoność. Posiłek przy stole to w Izraelu ceremonia, radosne chwile z przyjaciółmi, rodziną i pokrzykującymi dziećmi. Czas wtedy nie gra roli.

Z kolei w ciągu dnia Izraelczyk na jedzenie nie ma czasu. Na ratunek głodnym spieszą niezliczone budki, okienka i - nie czarujmy się - obok skurwe knajpki oferujące fast food. I nie, nie chodzi o popularne sieciówki z hamburgerami (dostępne również w wersji koszernej) albo o średniej jakości pizzę sprzedawaną na trójkąty, na widok której szanujący swoją kuchnię Włoch zaniósłby się płaczem. Prawdziwy izraelski fast food jest naprawdę smaczny!

Niekoronowanym królem szybkiego jedzenia w Izraelu bez wątplenia jest falafel. Przekonani o tym są jego sprzedawcy, którzy chętnie nadają swoim budkom takie właśnie miano - „melech hafalafel” - i robią to na wyścigi. Aż do czasu, gdy po drugiej stronie ulicy, nie przejmując się konkurencją i kierując słynną izraelską hucpą - stanie kolejny lokalik i bezwstydnie przejmie władzę pod szyldem „melech malchei hafalafel” - czyli król królów falafela. Nic nie szkodzi - klientom starczy jeszcze na kilka takich przybytków w najbliższej okolicy.

Tym z większym apetytem (i budżetem) miejscowy street food do zaoferowania ma szoarmę. *Ma lasim balaffa?* [hebr. co do laffy?] - wykrzykuje obłany potem sprzedawca rozkładając placek orientального chlebaka przed galerią sałatek, hummusu i ostrych sosów. Każda szoarma to niemal dzieło sztuki - bo nie ma dwóch takich samych. Kilka ruchów ręką, tańczące łyżki z humusem, zhugiem, kiszonki i skwierczące mięso. Sprawne palce zawijają potem laffę w rulon, wsuwają w papierową torebkę i gotowe dzieło ładuje w rękach klienta.

Głodny wychodzi więc z gorącą obietnicą sytości w rękę. Wgryza się w miękki chlebek i feerię smaków, temperatur i konsystencji. Na chodnik kapie tahini, spadają kawałki ostrej marchewki. Ale nic to, przecież chodniki w Izraelu i tak nie grzeszą czystością.

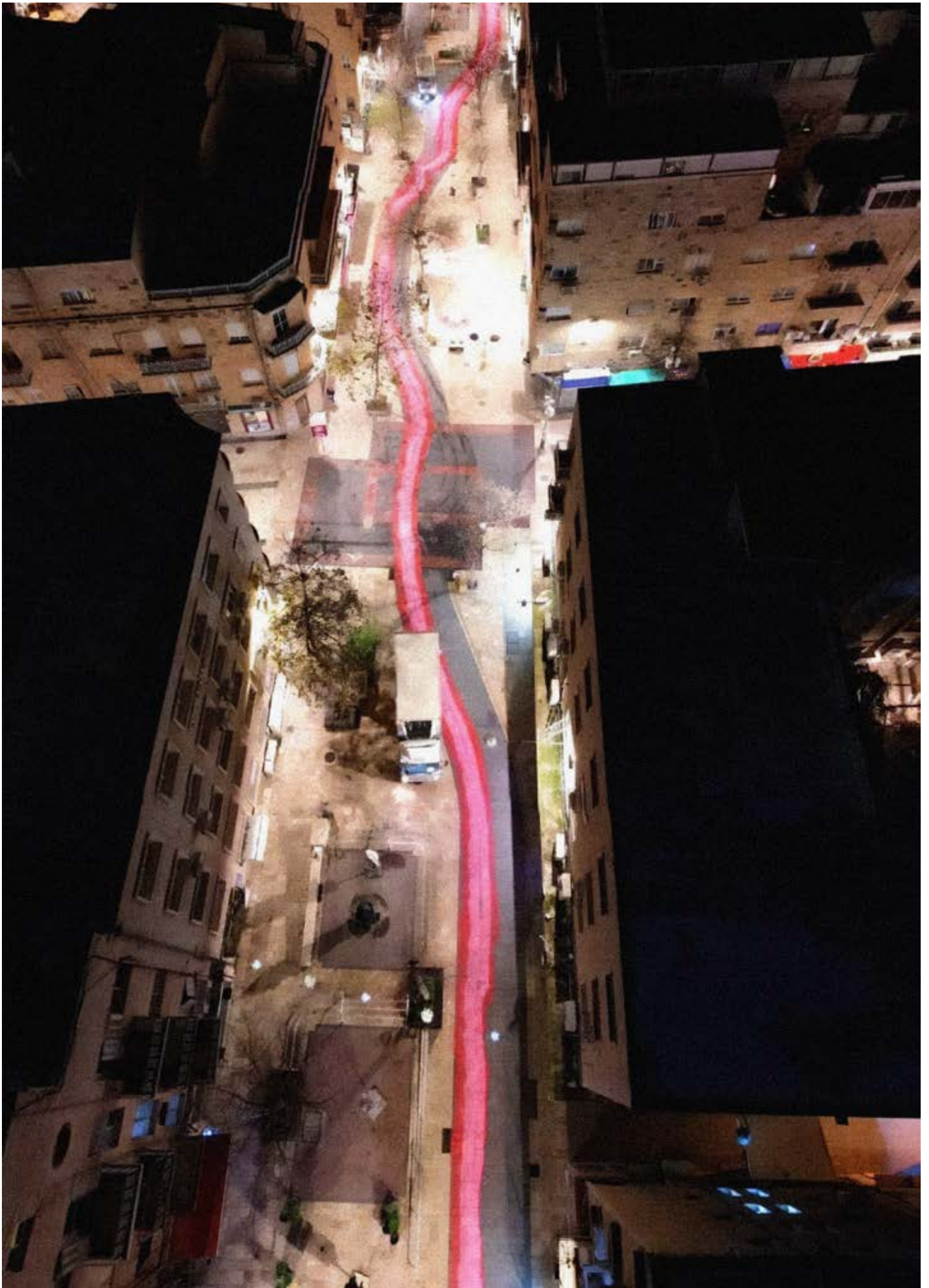
W zagłębiach fast foodów na izraelskich ulicach obok szoarmy wyrastają często lokale z pizzą o - jak już wspomniano - kiepskiej jakości, ale jakimś cudem wciąż robiącą wśród Izraelczyków ogromną karierę. Z trójkąta raczej nic nie kapie, za to prostokątny kartonik, na którym podaje się klientowi kawałek pizzy, dołączy po konsumpcji do leżącej na chodniku marchewki.

Sabich, ach ten sabich! Nęcący zapachem smażonych bakłażanów już dwie ulice dalej. I znów ceremonia, znów zręczne ruchy i rywalizacja o miano najlepszego w mieście. Ba! Nawet w kraju. Budki z sabichami są prawie jak partie polityczne - zwolennicy każdej z nich są gotowi pokłócić się o ich dominację zupełnie na poważnie.

Po wszystkim, albo też po prostu gdzieś w środku dnia, gdy cukier we krwi opadnie, można zakupić na wynos kawę *hafuch* w kartonowym kubeczk, a do papierowej torebki wrzucić kilka *rogalach*. Maafe - góry ułożonych równiutko słodkich bułeczek z serem, chałwą i czekoladą pyszną się na ładach sieciowych kawiarni. Każdy może dotknąć, może też kichnąć, a nie wiadomo, czy rozkładający nie drapał się wcześniej za uchem. Rogaliki gołymi palcami wkłada się do torebek i idzie zważyć do kasy. Słodkie „co nieco” (choć trudno to tak nazwać biorąc pod uwagę ilości kalorii, które te maleństwa raczą posiadać) je się w biegu, prosto z torebki, w towarzystwie gołębi i wróbli, które zlatują na widok rozrzuconych dookoła okruszków.

Izraelczyk lubi zjeść w biegu, pokruszyć, pobrudzić, wytrzeć ręce po tłuszczu z falafela w cienkie chusteczki z metalowego dozownika ustawionego na jedynym stoliku przy budce. Nie przeszkadza mu, że fastfoodowe przybytki z higieną nie mają zbyt wiele wspólnego. Że podłoga się lepi, a sprzedawca w tych samych lateksowych rękawiczkach zarówno kroi mięso jak i wyduje resztę ze stu szekli.

Uliczne jedzenie ze swoimi smakami, specyficznym ceremoniałem i estetyką to rodzaj miejscowego folkloru. Warto ominąć polecane w przewodnikach restauracje by poczuć smak tłustych frytek, usłyszeć z głośnika orientálną muzykę i poprzepychać się z innymi klientami przy ladzie. Tam posmakować można tego zwykłego Izraela i spotkać przeciętnego, zabieganego Izraelczyka.



Happening izraelskich studentów, projektantów, wykładowców artystycznych m.in. byłego dyrektora Muzeum Izraela Ido Bruna na ulicach Jerozolimy towarzyszący masowym protestom przeciwko reformom rządu, Jerozolima, marzec 2023; fot. Amir Goldstein